ŚWIAT

Nr. 17
24. IV. 1937.
CENA 1 ZŁ.



w numerze:

NINA ŚWIERCZEWSKA ODNIOSŁA DUŻY SUKCES W ROLI AMELJI W „HORSZTYŃSKIM" SŁOWACKIEGO

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXII Nr 17 24.IV 1937

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

DAWNA WARSZAWA W MUZEUM NARODOWEM



1. Marcin Zaleski (1796—1877). Scena z powstania listopadowego rozgrywająca się na Placu Zamkowym

Dużą żywotność i ruchliwość wykazuje w ostatnich czasach warszawskie Muzeum Narodowe. Muzeum — i ruchliwość? Czy określenie to nie jest mylne? Przywykliśmy bowiem od szeregu lat do zupełnej martwoty tej instytucji. Teraz szczęśliwie wszystko się zmieniło—na lepsze. Zaledwie zamknięto cieszącą się fantastycznem powodzeniem wystawę malarstwa francuskiego — już zorganizowano ciekawy pokaz dawnej Warszawy.

Wystawa składa się z eksponatów, będących w posiadaniu Muzeum Narodowego i częściowo dopełnionych przedmiotami ze zbiorów miejskich, osób prywatnych, cechów i stowarzyszeń. Pomyślano tę wystawę jako pokaz różnych tematów i dziedzin, związanych z życiem stolicy — a to w celu zainteresowanie zbiorami muzealny-



2. Widok ogólny Warszawy, rysowany przez Dahlberga w w r. 1656



3. *Widok ogólny Warszawy z czasów Stanisławowskich, wydany w Amsterdamie*

mi szerszego ogółu, aby go zachęcić do ofiarowywania przedmiotów z temi tematami związanych na rzecz tworzącego się przyszłego Muzeum Dawnej Warszawy.

Muzeum takie powstać może i powinno. Kto widział w Rzymie muzeum dawnego Rzymu z czasów minionych — ten musi wyrazić uznanie dla Mussoliniego — (on to muzeum kazał założyć) —umiejącego jak nikt inny pokazać swym rodakom świetną przeszłość i wzbudzić w nich umiłowanie tej wielkości. Muzeum takie może być niezmiernie atrakcyjne, wcale nie nudne, jak to sobie niektórzy wyobrażają. Nie składa się ono z samych „suchych" planów — choć i plany dla umiejącego się w nich orjentować mogą być czystą poezją... Poza planami gromadzi takie muzeum wszelkie widoki miasta z dawnych czasów, typy charakterystyczne a zaginione, sceny rodzajowe, obrazy historyczne, z życiem miasta związane, a dalej wszelkie godła, emblematy, narzędzia cechów, pieczęcie, kostjumy etc. Tak też, jeżeli wolno sądzić z obecnego pokazu, projektują przyszłe warszawskie muzeum stolicy jego organizatorowie.

Znajdujemy na obecnej wystawie zarówno plany Warszawy, wykonane na zlecenie marszałka Bielińskiego w roku 1762, jak widoki Warszawy od lat najdawniejszych. Najstarszy z końca wieku XVI, potem śliczny widok Dahlberga z roku 1656 — (epoka szwedzka, czasy „Potopu") (ilustr 2). Dalej idą widoki z wieku XVIII, między innymi Canaletta.

Obrazów odtwarzających oblicze stolicy w dawnych czasach jest sporo i są one niezmiernie ciekawe. Celowe zgromadzenie ich tutaj daje odpowiedź na pytanie, które często ciśnie się na usta polaków: czemu Warszawa nie jest tak piękna, jak stare miasta na zachodzie Europy? Uprzytomnimy to sobie niedwuznacznie, spojrzawszy na sielski widoczek ulicy Marszałkowskiej, która w połowie wieku XIX wyglądała jeszcze jak... zapadła wioska, z chatkami i zbożem, rosnącem za płotem. Tak wyglądała sto lat temu jeszcze cała ta



4. *Al Lesser. Widok Nowego Miasta w r. 1831*



5. *Al. Lesser — Plac Zamkowy w roku 1830*

renie stolicy w ciągu ostatniego stulecia. Obraz Misierowicza z połowy wieku XIX-go pokazuje nam jeszcze „wąskie Krakowskie Przedmieście" — które potem dopiero dla celów urbanistycznych poszerzono do okazałej obecnej szerokości (ilustr. 7). Obecny plac Małachowskiego, najruchliwsza dzielnica stolicy — miała już coprawda w tym czasie, jak widzimy na obrazie Seydlitza, dzisiejszy gmach Tow. Kredytowego i Kościół Ewangelicki — ale charakter ogólny placu był jeszcze bardzo — sielski anielski (ilustr. 6). Trochę się zmienił nawet zabytkowy Plac Zamkowy: widzimy go na obrazie Zaleskiego (ilustr. 1), i Lessera (ilustr. 5).

Nie poprzestano jednak na wystawie na samych widokach miasta. Pokazano i fragmenty życia stolicy, pracy i rozrywek jej mieszkańców.



6. *K. J. Seydlitz — Widok na Kościół Ewangelicki i gmach Tow. Kredytowego w połowie w. XIX*

część miasta, która dziś stanowi centrum Warszawy. Powstała ona zatem w epoce rozpanoszonej bezstylowości — i nie jej to wina, że otrzymała ten wygląd, jaki ma obecnie.

Warszawa dawna, tradycją owiana i piękna, — była maleńka. Znajdziemy na wystawie liczne jej widoki i fragmenty architektoniczne, odtworzone przez Vogla, Zaleskiego, Kasprzyckiego, Balukiewicza, Seydlitza, Lessera i innych. Mówią nam one o ogromnych przemianach, które się dokonały na te-



7. *Alojzy Misierowicz— Widok na tak zwane wąskie Krak. Przedmieście w r. 1855*

Typy warszawskie Norblina z końca wieku XVIII (wyjęte z teki „Costumes polonais"), typy Piwarskiego z połowy wieku XIX — (z teki „Kram malowniczy"), wesołe rysunki Kostrzewskiego z drugiej połowy wieku XIX—dają obraz dawnego życia Warszawy. Bardzo dobrze wybrane pamiątki, dotyczące działalności mieszczaństwa, powstań narodowych, ważnych momentów historycznych, dopełniają tej ciekawej wystawy, która napewno pobudzi ofiarność zbieraczy na rzecz projektowanego muzeum.

KAROL SZYMANOWSKI

NA TLE SWEJ ZIEMI RODZINNEJ

Zaledwie kilka miesięcy temu zamieściliśmy w „Świecie“ recenzję ze wzruszającej książki Zofji Szymanowskiej, „Opowieść o naszym domu“. Zaznaczyliśmy wtedy, że książka ta z czasem nabierze bezcennej wartości autentycznego dokumentu, mówiącego nam niezafałszowaną prawdę o wielkim muzyku polskim, Karolu Szymanowskim. Nastąpiło to aż nazbyt prędko niestety. Dziś rosnące rzesze wielbicieli twórczości Szymanowskiego odtwarzać sobie będą ze słów jego siostry obraz duchowy wielkiego zmarłego. Wybraliśmy z tej głęboko przejmującej książki kilka fragmentów, które malują znakomitego kompozytora na tle tymoszowieckiego dworu, w otoczeniu przyjaciół i rodziny—a jednak ciągle pochłoniętego niepodzielnie swą twórczością.

Wszystkie prawie dzieci w Tymoszówce przechodziły okresy wzniosłej ekstazy i poetyckich natchnień, których wynikiem były sentymentalne wiersze lub ponure dramaty, pełne lochów więziennych, krwi i trupów.

Dzieci odgrywały często te straszliwe widowiska przed wdzięczną publicznością, złożoną z rodziców, ciotek i wujów.

Zwykle wybierano, zdaje się, dramaty Katota, które, chociaż równie groźne i romantyczne, miały zapewne jakieś większe wartości sceniczne.

*

Pochyliłam się nad książką, która ględziła sucho i bezbarwnie o wędrówkach ludów i upadku cesarstwa rzymskiego.

Krótkie zdania następowały po sobie rytmicznie i twardo, jak uderzenia linją po stole, zgrzytały mi jak piasek w zębach i wcale nie chciały wchodzić do głowy. Były zimne i brzydkie, jak ta uparta jesień za oknem.

Wtem w sennej ciszy korytarza usłyszałam charakterystyczny, nierówny trochę krok Katota.

Wszedł do pokoju i pochylił się nad moją książką.

— To okropnie nudne — powiedziałam ze smutkiem i wskazałam fioletowym od ołówka palcem nieszczęsny ustęp.

— To nie jest nudne — odrzekł z uśmiechem — posłuchaj tylko.

Usiadł naprzeciw mnie, rzucił pobieżnie okiem na podsuniętą mu książkę i oparłszy głowę na dłoni, w której pomiędzy drugim a trzecim palcem tkwił nieodstępny papieros — mówić począł.

Jakże doskonale znał historję! Lecz jak śmiesznie wyglądał teraz suchy, szkolny ustęp, mówiący tak niewiele o rzeczy — tak pięknej.

Słuchałam z otwartemi szeroko oczyma, olśniona blaskiem, który bić począł z ubogiej, szkolnej książczyny w natchnionym wykładzie Katota.

...I w to szare, chłodne popołudnie zstąpiła w mrok pokoju słoneczna legenda — o jasnowłosych, straszliwych Gotach, posępnym Attyli i tragicznym, pełnym godności zgonie rzymskiego cesarstwa.

A w tę zapierającą dech opowieść wpadały raz po raz nieomylne daty, jak białe graniczne kamienie, znaczące wielką drogę wzniesień i upadków, zwycięstw i niedoli.

Raz powiedziane, zapadały mi w pamięć głęboko i pozostały tam do dziś, związane na zawsze ze wspomnieniem olśniewająco pięknej bajki Katota.

Zmierzch zapadł już dawno. Kwadranse gubiły się w mroku — a ja siedziałam zasłuchana, z wypiekami na twarzy, — patrząc w natchnione Katotowe oczy.

*

Znikał nam z oczu na cały dzień. Przywołany gongiem na obiad, jadł go w zupełnem prawie milczeniu, zapatrzony chłodnemi oczyma gdzieś daleko, ponad głowy siedzących przy stole.

Śmiech i rozmowy nie dotyczyły go — przelatywały mimo jak rój wesołych trzmieli.

Gdy godziło w niego zapytanie, na które koniecznie musiał dać odpowiedź, odpowiadał na nie ze zwykłą uprzejmością, lecz powoli i nie zaraz, jakgdyby do tego pytania powracał z daleka, jakgdyby przebijał się doń z trudem przez gąszcz swych własnych myśli, odgradzających go od świata.

Przez cały ten czas był jakgdyby obok życia — obok ważnych i wesołych tymoszowieckich spraw.

I wreszcie pewnego popołudnia, gdy w mych wędrówkach z Gamą po ogrodzie zajrzałam ostrożnie przez otwarte okno kompozytorni, ujrzałam Katota siedzącego bezczynnie przy biurku, odchylonego na poręcz krzesła, z rękami splecionemi pod głową. Patrzył, jak zawsze, daleko przed siebie, ponad świat.

— Skończyłem sonatę — oznajmił mi znużonym głosem.

Serce zabiło mi radosnem zdumieniem.

— Cieszysz się pewnie — powiedziałam głupio i nieśmiało.

— Jestem tak zmęczony, że nawet nie odczuwam radości — rzekł ze swym łatwym, niewesołym uśmiechem.

A w kilka dni później słuchaliśmy ze wzruszeniem sonaty Katota, granej w całości po raz pierwszy przez pobladłego z zapału Artura.

*

Z dusznych arabskich nocy Tunisu, z rozżarzonych piasków Biskry, z księżycowych zaułków rozkołysanych dźwiękiem „zurny“ — przywiózł Katot biały burnus arabski, w którym chodził rankiem do kąpieli, sandałowy olejek w rżniętym flakonie, którego jedna kropla wystarczyła dla napełnienia zapachem pokoju — i przywiózł III Symfonję.

Wiózł ją nienarodzoną jeszcze, ale już przeczutą poprzez dalsze etapy podróży: Włochy, Wiedeń, Zakopane — i pozostał z nią wreszcie sam w obliczu chłodnych gwiazd, migocących nocą w tymoszowieckim stawie.

Ucichły rozgadane targowiska Europy i Katot w dalekim jej zakątku, wśród milczenia uśpionych pól patrzył teraz „na rynek gwiezdnych dróg“.

Z jakimże westchnieniem ulgi powrócił zapewne do swej „kompozytorni“ w tę letnią, cichą noc, gdy ogród szumiał tajemniczo, a w gęstwinie przemykał bezszelestnie

cień puszczyka, mocarza nocy.

„Jak cicho — inną śpią.
Ja i Bóg jesteśmy sami — Nocy tej..."

Jak piękną była dla niego ta noc. W wielkiej samotności tej drużby z Bogiem, w tej niewysłowionej godzinie, w której mówili z sobą bez języka, drobne ziarnko natchnienia, spoczywające w drogocennej rudzie wewnętrznej twórczej istoty — wytrysło nagle i olśniewającym deszczem dźwięku spadło na nutowy papier.

Gwiazdy wędrowały wysokie i chłodne ponad oknem kompozytorni. Wenus „płynęła w złotym dżdżu" — a w dalekiej muzyce gwiazd, w szumie uchylonego rąbka Wielkiej Tajemnicy tworzenia, wykwitła III Symfonja.

„Jaki szum. Wschodzi Szczęście.
Prawda skrzydłem opromienia—
Nocy tej"!

Myślę, iż wówczas było to dla Katota szczęście. Zstąpiło na niego nieoczekiwanie w prawdzie natchnienia.

Po nocy przyszedł dzień. Zbudziły się z szelestem malwy pod oknem kompozytorni. Pod niebem wybuchnął oszalałym śpiewem oswobodzony z nocnej grozy skowronek. A pszczoły brzęczały uporczywie wokół Katotowej głowy.

Skryła się w głębi zbudzonych wód gwiezdna tajemnica jedynej nocy.

Pozostał Katotowi ciężki trud, który go pochłaniał przez długie miesiące — praca wydobycia na światło i nadania lotnej myśli trwałego kształtu.

Jakże mozolnie pracował w to pierwsze lato wojny 1914 roku — gnany wewnętrzną koniecznością która kazała mu mówić o duchu i pięknie — zanim na długie lata piękno i duch wdeptane zostały w krwawe błoto.

Nie miał nadziei, aby pieśń jego przetrwać mogła rozpaczliwy krzyk mordowanego świata, aby mogła przebić kolczaste zapory i zwały młodzieńczych trupów, zalegających Europę — i przemówić do tragicznej, ludzkości.

Tworzył ją więc — dla nikogo — w ogromnem znużeniu i smutku.

Lecz nie mógł kłamać swej prawdzie — i tworzyć musiał.

I w cichej, małej kompozytorni, wśród czerniejącej już burzy — rósł trud bezcelowy i piękny — rosła i potężniała błękitna pieśń o ciszy — i zalewała coraz szersze karty papieru mikroskopijnem pismem malutkich nut Katota.

— Piszę mą symfonję na wielką orkiestrę, jak największą — mówił mi, podnosząc oczy z nad zapisanych kart — chcę nadać jej wiele blasku i dźwięku. A i tak przecież wykonaną nigdy nie będzie... Niech pozostanie taką, jaką chcę ją widzieć w mojem marzeniu.

I gdy to mówił oczy jego były smutne.

...I z twardej konieczności tworzenia, z matematycznej logiki dźwięku, z tego beznadziejnego trudu i tragicznej pracy „dla nikogo" — powstało jedno z najgłębszych Katotowych dzieł o najpełniejszym wyrazie: „Pieśń o Nocy".

Po wielu latach ucichła najgłębsza tragedja świata. Układła się nienawiść i zamknęły się paszcze armat — a z zabitej młodości nowa młodość wyrastać poczęła, pełna nieuleczalnej nadziei i wiary.

I wówczas to pewnego wieczoru roku 1925 w wolnej Warszawie wykonano po raz pierwszy III Symfonję Katota.

O, jakże wielkie to było dla niego przeżycie — i jak bladym był wtedy, gdy słuchał zmartwychwstałej „Pieśni o Nocy" — tej pieśni, którą ongiś skazał na zagładę.

* * *

W Katocie miałam odpowiedź na wszystkie kwestje, które mnie zajmowały, i jego to kształcącym rozmowom ze mną moje wykształcenie zawdzięczam.

Katot pragnął zbadać i zgłębić wszystko.

Chłonął książki i rozważał systemy filozoficzne. Zachwycał się poezją i rozmyślał nad zawiłym pasjansem.

Tak jak papa, miał czas na wszystko i dla wszystkich. W każdej dyskusji umiał powiedzieć to, co trzeba, i w najdrażliwszej kwestji znalazł zawsze właściwe rozwiązanie.

Był dla mnie źródłem wciąż nowych odkryć i nowych radości. Jego zdanie było dla mnie jedynie miarodajne, a rozłąka z nim wytwarzała dotkliwą pustkę wokół mnie, której niczym nie mogłam zapełnić.

W rodzinie kochano go i nikt nie chciał go zranić.

— Miał smutne dzieciństwo — tłumaczyły ciotki, które go ubóstwiały.

Kuzynki patrzyły w niego jak w tęczę, a uparty, wszystkim pod włos idący Michał z jego zdaniem liczył się jedynie.

Dla sąsiadów naszych był Katot ośrodkiem zainteresowania. Zapraszali go z ukrytym lękiem, czy zechce przyjechać. A przecież był taki dostępny i prosty.

Obcy ludzie, nie zgłębiając tajników jego wewnętrznej istoty, ulegali równie czarowi jego dobroci.

Jedni ulegali, drudzy — takich było więcej — wyzyskiwali ją dla swoich celów.

A Katot w wiecznym warze twórczej myśli i w nieustającej pracy swego wewnętrznego ja, tak często umiał zapomnieć o sobie i myśleć o drugich. Oszukany sto razy, po raz sto pierwszy ufał ludziom i nigdy nie wierzył w zło.

Katot był bezbronny — i takim pozostał.

Lecz wówczas chronił go w swem muzycznem wnętrzu dom tymoszowiecki.

Dziś bije weń świat.

A Katot idzie przez życie—bezkompromisowy i do samozaparcia lojalny — pod pozorami opanowania kryjący głęboką nieśmiałość.

Wielki samotnik w książęcym płaszczu swej po stokroć szarpanej dobroci...

I niema dzisiaj domu w Tymoszówce — błękitnej przystani, w której schroniłby się mógł przed czarnym nurtem życia.

* * *

I cierpienie ściągnęło szczupłą twarz Katota — milczące i zwarte osiadło w jego oczach.

Katot, jak zwykle, o niem nie mówił i krył się z niem, jak zwykle, w swej małej — ach, jakże drogiej dziś — „kompozytorni".

I wówczas, w te krótkie pełne grozy dni powstała III-cia Sonata fortepianowa i kwartet i 12 etjud na fortepian i wiele innych utworów i szkiców.

Jakże mało radości było w jego pracy a jak wiele najgłębszej powagi i bólu.

Lecz gorzało w nim tragiczne natchnienie i nigdy chyba nie napisał tak wiele.

I pracował, pracował bez wytchnienia, jakgdyby pracę swą zakończyć chciał w domu.

Jakgdyby z jego promiennem wspomnieniem związać chciał ostatnie swe utwory.

Bo myślał, że będą ostatnie.

A wiedział przecież — i wiedzieliśmy wszyscy — że dni domu są liczone — i że nieuchronnie przyjść musi rozstanie.

Z ANGIELSKIEJ KRONIKI LITERACKIEJ

ŚMIERĆ ZNANEGO DRAMATURGA I POETY.

We czwarek 25 marca zmarł nagle na serce John Drinkwater, znany dramaturg i poeta angielski. Poprzedniego dnia był on obecny na wyścigu ósemek między osadami Oxford i Cambridge, poczem brał udział w przyjęciu dla wioślarzy. Drinkwater urodził się w r. 1882 w hrabstwie Essex. Niedługo po przyjściu na świat syna ojciec jego, który był nauczycielem przerzucił się do teatru, gdzie jako aktor, reżyser i pisarz zdobył sobie zasłużone uznanie. Swe lata szkolne Drinkwater opisał w jednej z najmilszych książek, zatytułowanej **„Dziedzictwo"**. **(Inheritance,** 1931). Miał to być pierwszy tom szeroko ujętej autobiografji. Niestety, projekt ten nie doszedł do skutku i nie wiemy nic zupełnie o tem, się działo z Drinkwater'em przez lat dwadzieścia, od chwili, kiedy przestał być urzędnikiem w towarzystwie ubezpieczeniowem w Nottingham (było to pierwsze stanowisko, które zajął po ukończeniu szkoły) aż do chwili, kiedy znajdujemy go współpracującego ze swym przyjacielem, obecnym sir Barry Jackson'em **(The Pilgrim Players)** w Birmingham, która zczasem przekształciła się w **Birmingham Repertory Theatre.** Jako młody człowiek Drinkwater wykazywał pewne zdolności aktorskie, ale powodzenie, które zdobyła jego pierwsza rzecz **„Abraham Lincoln"** (szereg scen z życia bohatera amerykańskiego), wystawiona w Birmingham i w Londynie w r. 1918, zachęciło go do poświęcenia się pracy pisarskiej. Drinkwater jest autorem kilku dramatycznych biografij epizodycznych: **„Maria Stuart"** (1912), **„Oliver Cromwell"** (1923), **„Robert E. Lee"** (1923). Z pośród znanych jego sztuk trzeba wspomnieć **X — 0, „Jedną Noc z Wojny Trojańskiej" (A Night of the Trojan War)** i komedję **„Bird - in Hand"**. Drinkwater był również wybitnym poetą lirycznym i pozostawił wiele drobnych poezyj. Niedługo przed śmiercią ukończył on własnego wykonania film w związku z koronacją. A jednym z ostatnich jego utworów jest **„Majestat Króla"**, napisany jako przyczynek do oficjanego programu koronacyjnego.

*

A PROPOS KORONACJI.

Z powodu zbliżającej się daty koronacji ukazał się w Londynie cały szereg książek specjalnych — „autentycznych i aprobowanych" — (jak je reklamują firmy wydawnicze). Więc przede wszystkim Lady Cynthia Asquith występowała z trzema książkami o nowej królowej: **„Królowa Elżbieta", „Życie rodzinne J. K. M. Królowej Elżbiety"** i **„J. K. M. Królowa Elżbieta"** — ta trzecia ukaże się dopiero w ciągu bieżącego miesiąca. **„Nasz Król i Królowa"** jest popularną, prostą, ale jednocześnie prawdziwą historyczną książką. **„Król Jerzy VI"**, napisany przez Taylor'a Darbyshire stoi na wyższym poziomie artystycznym pod względem konstrukcji i obrazu życia króla. Szczególnie ciekawe są opisy służby króla w czasie wojny światowej i jego sławnej podróży dokoła świata. Lewis Broad w **„Crownnig the King" (Koronowanie Króla)** przedstawił wszystko z życia Jerzego VI, co może mieć związek z jego koronacją. Pozatem książka ta dokładnie opisuje i tłumaczy wszelkie obrzędy koronacyjne. **„Król" (Historja i Wspaniałość Monarchji Brytyjskiej)** przez W. S. Shears'a jest jedyną z wyliczanych książek traktujących o monarchji w szerokim ujęciu historycznym, poczynając od czasów Biblijnych.

Majorie Bowen w swych **„Koronach i Berłach"** podaje oprócz samego opisu ceremonii koronacyjnych garść ploteczek i anegdot na temat różnych koronacyj angielskich i zagranicznych, **„Królewski Westminster i Koronacja"** J. G. Nappen'a jest historją pałacu i opactwa Westmisterskiego, oraz opisem koronacji, a **„The Coronation Book"** Williama Le Hardy jest zwięzłym streszczeniem obecnych i dawnych ceremoniałów koronacyjnych. Na zakończenie tej listy należy przytoczyć 2 książki Bruce' a Graeme'a, a mianowicie: **„Historję Zamku Windsor"** i **„Stulecie Pałacu Buckinghamskiego"**.

*

NOWA POWIEŚĆ SOMERSET'A MAUGHAM'A.

Warto zanalizować ukazanie się nowej powieści Somerset'a Maugham'a, którego poprzednie dzieła cieszyły się w Polsce taką poczytnością. Nowość ta nazywa się **„Teatr" (Theatre, Heihemann)**.

Powieść przedstawia dzieje i miłość Julii Lambert, wielkiej aktorki. Mąż jej, Michael Gosselyn, jest również aktorem i „managerem", umiejętnym businessmanem. Julia pałała do niego gorącym uczuciem, ale w chwili, gdy powieść się zaczyna należy to już do przeszłości. Julia i jej mąż stanowią typową, zamożną, przystojną i napozór pod każdym względem zadowoloną niemłodą parę z dorastającym synem w Eton. Tymczasem, w gruncie rzeczy są oni głęboko znudzeni, jak często zdarza się ludziom, którym nic nie brakuje z materjalnych wartości tego świata. To też Julia, ciesząca się nieskalaną reputacją, uważa, że ma prawo skorzystać, jeśli życie przyniesie jej jakąś przygodę. Przygoda zjawia się w postaci młodego chłopca — snoba i egoisty. Jego młodość i bezczelność porywają Julię. Oczywiście romans nie może trwać długo. Po odejściu takiego kochanka (który sporo zresztą Julię kosztował) — aktorka szybko stara się opanować ból. Dzięki temu, że umie się ona doskonale dostować do życia i, lepszą część swej natury wkładając w grę na scenie, pozostałą potrafi wykorzystać drobne powszedniości — Julia Lambert jest przedstawiona jako charakter czysto komedjowy, całkowicie pozbawiony poezji czy tragizmu. Cięte pióro autora znajduje szerokie pole do popisu w tej dość banalnej historii, i świetnie wyzyskuje środowisko i sytuacje.

*

DLA TYCH KTÓRZY WOLĄ CZYTAĆ PO FRANCUSKU.

W tłumaczeniu francuskim ukazały się ostatnio dwie ciekawe książki angielskie. Jedna to studjum ministra wojny Duff Coopera o Talleyrandzie. Druga Friedy Lawrence o D. H. Lawrence'ie.

Duff Cooper unika jasnego formułowania swych sądów, książka jego może jednak posłużyć za nauczkę dla obecnych polityków. Talleyrand był typowym konserwatywnym rewolucjonistą, pragnącym pokierować rewolucją wedle swych planów w zamkniętej przestrzeni, a jednocześnie całe życie pracującym gorliwie nad utrzymaniem równowagi i pokoju pomiędzy wszystkiemi potęgami Europy. Nie trzeba zapominać przytem, że był on upartym zwolennikiem przymierza francusko - angielskiego.

Frieda Lawrence ulega modzie nakazującej od pewnego czasu wdowom po sławnych ludziach zdobywać rozgłos (czy pieniądze?) opowiadaniem o swych zmarłych mężach. Książka jej będzie często irytować zwolenników D. H. Lawrence'a, a czasem wzruszy. Najciekawszą jej częścią są listy Lawrence'a, w których okazuje się on niesłychanie wymagającym i pełnym skrupułów pod względem moralnym. Ale oczywiście chodzi tu o nową moralność, doszczętnie i na swoisty sposób przebudowaną przez człowieka, który dla wielu czytelników jest tylko autorem **„Kochanka Lady Chatterley"**.

L. Buyno.

POŁÓW PEREŁ



Zapóźno, kwiatku, zapóźno

Kiedy płk. Lechnicki był w rządzie, nie słyszeliśmy z jego strony żadnych uwag krytycznych na temat kierunku podlegających mu „resortów". Teraz — z wielką inteligencją, absolutną szczerością, z doskonałą zwłaszcza znajomością materjału i faktów — płk. Lechnicki wypowiada się na łamach prasy, dając jak się to mówi „rewelacyjne" oświetlenie różnych naszych gospodarczych bolączek.

Mówi śmiało — i zna dziedziny, o których mówi. I krytykuje jaknajsłuszniej to wszystko, co zwiemy etatyzmem, a co jak zwalona kłoda leży na drodze Polski wzwyż.

Czytamy — i przyznajemy mu rację.

Czytamy — i skłonni jesteśmy dłonie złożyć do oklasku.

Ale oto — przychodzi w porę refleksja.

Przypomina nam ktoś w czasopiśmie „Naród i Państwo" — że dopiero teraz płk. Lechnicki mówi głosem nieskrępowanym i grzmi na rozpanoszony etatyzm. Kiedy był przy władzy — kiedy i on ponosił odpowiedzialność za fatalny kierunek naszej gospodarki — wtedy wypowiedzi jego pełne były optymizmu. Jakże to mówił na zjeździe działaczy gospodarczych B. B. — jako wiceminister?

Mówił w te słowa:

„Pragnę parę słów poświęcić etatyzmowi. Przy bezstronnej i skrupulatnej analizie wykazu udziałów Państwa w przedsiębiorstwach przemysłowych można stwierdzić, że poza utrzymaniem udziału w przedsiębiorstwach, będących własnością skarbu b. zaborców, istotnie poważne zaangażowania widzimy jedynie w dwóch grupach przedsiębiorstw, t. zn. w chemicznej oraz w grupie zakładów stanowiących elementy niezbędnej niezależności obronnej..."

Hm...

Dopiero dzisiaj dowiadujemy się — z ust tegoż płk. Lechnickiego — że było i jest zupełnie inaczej.

Spóźniona szczerość.

„Ubezpieczenia"

Splajtował z trzaskiem „Feniks". (Towarzystwo Ubezpieczeń).

Splajtowała z trzaskiem „Europa". (Towarzystwo Ubezpieczeń).

Ubezpieczeni, nieszczęsne baranki dokładnie ostrzyżone dostaną za swe złocisze — groszaki. W najlepszym razie.

Przepraszam — ale słyszeliśmy, że istnieje w Polsce jakiś państwowy urząd kontrolujący działalność towarzystw ubezpieczeniowych? Czy urząd ten będzie odpowiadał finansowo za tolerowany przez siebie bałagan i za materjalne straty oszukanych klijentów?

Dyskrecja

Kto miał w ręku kiedykolwiek roczniki zagranicznych Akademji, np. chociażby młodej bo ledwie kilka lat liczącej Włoskiej Akademji Nauki i Sztuki — ten wie, jakie skarby wiedzy zawierają te olbrzymie foljały, gromadzące całoroczny dorobek prac danej instytucji.

I nasza „Akademja" też wydała swój rocznik. Nawet za parę lat odrazu. Dość mizerny pod względem rozmiarów. Prawie kompromitujący pod względem treści.

Zawiera on przedruki dętych i nadętych przemówień panów akademików i ich protektorów. Oraz sprawozdania z takiej zwykłej działalności administracyjnej — bo inaczej trudno nazwać np. słynną „sekcję wawrzynów".

Działalność twórcza? Głębsza akcja naukowa, czy artystyczna? Tego w roczniku niema.

Najboleśniejszym jednak brakiem w oczach czytelnika jest — dyskretne pominięcie sprawozdania finansowego tej instytucji. Właściwie nikt w Polsce przecież nie jest ciekaw przemówień akademików. Ale każdy byłby niezmiernie ciekaw — ile nas to wszystko kosztuje?

Tylko że PAL na tym punkcie przysiągł sobie widać wieczystą dyskrecję...

„Reprezentacja"

Mamy ciągle lekkiego bzika na punkcie „reprezentacji". Nasi mniejszych i większych rozmiarów wielkorządcy zapominają stale o tem, że rządzą w kraju nędzarzy, i że żadną „reprezentacją" nie zamydlą oczu cudzoziemcom — a tubylców tylko swymi luksusami drażnią i wywołują w kraju nastroje więcej niż krytyczne.

Stolica też ma oczywiście pretensje do „reprezentacji". Słusznie. Od tego jest stolicą. Tylko, że niezawsze ta reprezentacyjność pojmowana jest właściwie.

Naprzykład przeciętny warszawiak myśli, że nie byłoby żadną, ale to to żadną hańbą, gdyby goście na przyjęciach oficjalnych jedli na platerach, zamiast na srebrze. Natomiast tenże przeciętny warszawiak sądzi, że jest zaprzeczeniem „reprezentacyjności" fakcik, który zdarzył się na Starem Mieście — w dzielnicy uważanej za reprezentacyjną, i dla tego obowiązkowo pokazywanej przyjeżdżającym cudzoziemcom.

Oto znany malarz Okuń, mieszkający na Starem Mieście, jak czytamy w I. K. C. ujrzał kiedyś na tym zabytkowym placu widok dość osobliwy.

„Któregoś zimowego ranka tego roku stertę zgarniętego śniegu zdobił ...pospolity sprzęt nocnego użytku. Właśnie nadjechała kilkoma autobusami wycieczka bankowców rumuńskich i więcej uwagi poświęciła temu nieoczekiwanemu na zabytkowym placu stolicy przedmiotowi, niż polichromji kamienic. Byli zapewne zadowoleni, że nietylko na Bałkanach widzi się takie dekoracje".

Zapewne — jest to odosobniony **casus pascudeus...**

Ale ktoś chyba pilnuje porządku w stolicy?

Zwłaszcza na „reprezentacyjnem" Starem Mieście...

Uparty nurek.

W. KATAJEW

WALKA Z BIUROKRACJĄ

(Prawie humoreska)

Naczelnik rozwinął gazetę i zdębiał.

— Zawołać mi tu sekretarza! — krzyknął ochryple w pustą przestrzeń i ścisnął skronie dłońmi.

— Wzywaliście mnie, towarzyszu naczelniku? — zapytał sekretarz, dyskretnie wślizgując się do gabinetu.

— Wzywałem. Siadajcie. Czytaliście?

— Owszem, czytałem — westchnął sekretarz uprzejmie.

— No i cóż o tym sądzicie?

— Sądzę, że trzeba walczyć.

— Z biurokratyzmem?

— Z biurokratyzmem. Tak jest, właśnie.

— Racja. Musimy właśnie walczyć. Walczyć z biurokratyzmem. No bo jakże to, towarzysze. Wszak to, towarzysze, do niczego niepodobne. W młodą, sowiecką administrację wżarł się, towarzysze, dawny stęchły smrodliwy urzędniczy biurokratyzm, a my tu siedzimy i zgoła nie przeciwdziałamy! To jest, to jest... licho wie, co jest wybaczcie mi towarzysze! Nawet gazety o tym piszą. Słowem, towarzysze, trzeba biurokratyzm wyplenić jak najradykalniej. Wogóle i w szczególe! Czy tak?

— Słusznie, słusznie. Święta racja.

— Otóż to właśnie. A więc wy już towarzyszu sekretarzu, zajmijcie się tym. Żeby żadnego, rozumie się, biurokratyzmu. Sprawa pilna, terminowa... Kwestia nadzwyczajna... Zadanie pospieszne... Ekstra... Osobiście... Do rąk własnych... Bez meldowania nie wchodzić... To jest, tfu! Cóż to ja wygaduję! Słowo honoru, w głowie mi się już przewróciło. A tu nadomiar, tylko patrzeć, przyjdą do instytucji i zobaczą... biurokratyzm. A kto będzie za to odpowiedzialny? Tak nie można przecież towarzyszu! Do reszty mnie zgubicie, towarzyszu. Rozumiecie?

— Rozumiem, owszem.

— A więc, pospieszcie się, kochasiu! Ułożycie plan natychmiastowego wytępienia biurokratyzmu, przedłóżcie do aprobaty mojemu zastępcy, potem mnie, rozpracujecie, uzgodnicie, skorygujecie, urealnicie, przestudiujecie... następnie proszę to odbić na powielaczu, rozesłać, wywiesić, wciągnąć do akt, nie wchodzić bez zameldowania, nie pluć na podłogę... to jest, tfu! Co też ja wygaduję! Wcale nie to!

A więc pospieszcie się! Jazda!

— Rozkaz.

*

— Uzgodniliście?

— Uzgodniłem.

— Urealniliście?

— Urealniłem.

— Skorygowaliście?

— Skorygowałem.

— Przestudiowaliście?

— Przestudiowałem.

— Zastępca zaaprobował?

— Niestety nie zaaprobował.

— A to — dla - cze - go?

— Dlatego, że zastępca jest na urlopie.

— Na urlopie Hm... A któż go zastępuje?

— Wy go właśnie zastępujecie.

— Ja?

— Owszem, wy, towarzyszu.

— Hm... w takim razie dajcie tu ten projekt. Ja go przejrzę i podpiszę się w charakterze zastępcy, a potem wy go na nowo wciągnięcie i zreferujecie mi już jako naczelnikowi. Zrozumieliście?

— Zrozumiałem.

— No to jazda!

*

— Towarzyszu zastępco naczelnika, przynoszę tu jeden projekt do przejrzenia i podpisu.

— Jaki projekt?

— W sprawie walki z biurokratyzmem.

— Dobrze. Proszę zostawić. Przejrzę.

— Rozkaz.

*

— No cóż, podpisał mój zastępca ten projekt?

— Niestety, jeszcze nie. Zatrzymał u siebie. Obiecał przejrzeć.

— Skandal! Okropność! Biurokratyzm! Wyrżnę zaraz epistołę o niedopuszczalności tego rodzaju traktowania palących wymogów chwili. Toć to skandaliczne odwlekanie sprawy mającej ogólno państwowe znaczenie. Dostaniecie pismo, przyłożycie pieczęć i doręczycie za pokwitowaniem mojemu zastępcy!

— To znaczy wam.

— Nie mnie, lecz mojemu zastępcy.

— Ale przecież wy jesteście zastępcą swego zastępcy.

— Milczeć! Wiem o tym! W prywatnym życiu być może jestem sobą, lecz w urzędzie jestem nietylko sobą, ale i swoim własnym zastępcą oraz zastępcą swojego zastępcy. Zrozumieliście?

— Zrozumiałem.

*

— Towarzyszu zastępco, mam tu do was pismo od naczelnika.

— Dajcie je tu. Tak, zostawcie. Przejrzę w domu.

*

— Zastępca mój przejrzał pismo?

— Niestety nie. Zostawił u siebie. Powiedział, że przejrzy w domu.

— A to łajdak! Zawołać go tu!

— Jakże... mam... to zrobić, osądźcie sami, skoro on i wy to jedna i ta sama osoba?

—Milczeć! W urzędzie nie może być żadnych jednych i tych samych osób. W urzędzie wszystkie osoby są oficjalne. Zawołać go!

— Rozkaz! Towarzyszu zastępco, towarzysz naczelnik wzywa was do siebie.

— Powiedzcie, że już przychodzę.

— Kazał mi, towarzyszu naczelniku, powiedzieć, że już przychodzi.

— Dobrze. Możecie odejść.

*

Po godzinie interesanci wyczekując w długiej kolejce przed gabinetem naczelnika usłyszeli go, rozmawiającego za drzwiami donośnym głosem ze sobą samym:

— Uzgodniliście?

— Uzgodniłem.

— Skorygowaliście?

— Skorygowałem.

— Przestudiowaliście?

— Przestudiowałem.

— Podpisaliście?

— Nie podpisałem.

— Dlaczego?

— Dlatego, że wy wpierw powinniście podpisać.

— Mam wyższy od was stopień służbowy. Nie podpiszę pierwszy. Wy najpierw podpiszecie!

— Nie podpiszę.

— A ja was zwolnię z urzędu.

— A ja zażalenie wniosę.

— Wstrętny biurokrata.

— Nie wiadomo, kto gorszy.

*

— Cóż to się tam dzieje? — pytali interesanci woźnego Nikitę.

— A to nasz naczelnik z biurokratyzmem walczy...

A za drzwiami gabinetu grzmiał dziki głos:

— Nader pilne! Włączyć do rejestru. Uzgodnić, rozpracować, urealnić, bez zameldowania nie wchodzić, nie pluć na podłogę, zaliczek nie wydaje się! Ha — ha — ha!...

Przełożył M. Gl.



Poeta i reporter

H. KOROLEC-BUJAKOWSKA

SZKOCKI SHEILING

(korespondencja

Że Szkocja podzielona jest na klany, o tem wszyscy wiedzą. Ale że Burma jest podzielona na szkockie klany, o tem nie wie prawie nikt.

W pięknym języku szkockim sheiling oznacza chatę. Szkoci i ich chata w całem sentymentalnem kołtuństwie równa się tradycji górzystej, północnej Szkocji na tle bujnej, wspaniale podzwrotnikowej Burmy. To ma swój charme i swoisty charakter.

Klany w Szkocji są bardzo zamknięte w sobie. A cóż dopiero mówić o ich ekskluzywności na tle kolorowych skór.

Cały ten wstęp ma na celu zaznaczenie trudności, które musieliśmy przezwyciężyć, by szturmem wziąć cały szkocki klan w twierdzy jego sheilingu.

Pomógł przypadek w osobie redaktora znanej gazety Rangoonu, gdzieśmy się pierwszego dnia zameldowali . Do brata po fachu jak w dym po informacje wszelkiego rodzaju. Przecież kto jak kto, ale prasa na całym świecie wszystko musi wiedzieć najlepiej.

Pan Teofilus redaktor przywitał nas mile. Gdy wyłuszczyliśmy mu plan przeprawy motorem przez Younan, z natury już długa twarz jego przedłużyła się zatrważająco. O-o-o-o — to szaleństwo! Dalejże szukać na mapach wielkich, jak ściany, choćby cienia drogi.

— Nie życzę państwu szczęśliwej podróży i nie łudzę się, by motor mógł przejść Younan inaczej, jak na grzbietach mułów.

Z wrodzoną uprzejmością obywateli Wielkiej Brytanji z po za la Manche napisał parę listów, przydzielił nam młodego reportera i tak wyekwipowani ruszyliśmy po wyczerpujące informacje do ludzi, co tam byli i znają trakty pogranicznych bezdroży.

Po wąskich schodach wdzieraliśmy się na któreś piętro. Gorąco. Nie trzeba zapominać, że jesteśmy po tamtej stronie raka. Przez drzwi zakryte matą bambusową wdzieramy się wprost do maleńkiego living - roomu. Jasny, słoneczny pokój urządzony z wdziękiem prostoty. Zastosowano do wnętrza tubylcze meble z bambusu i trzciny i angielski kreton firanek. Na oknie kanarek w klatce.

Z głębi domu wyłania się równie jasny i czyściutki staruszek. Dyrektor agencji Reutera. On musi wiedzieć wszystko. Nie tylko to co było, co jest, ale i co będzie.

Miły staruszek wyraża radość z poznania nas. Dowiadując się o co nam idzie, ściąga wszystkie mapy z domu. Zasiadamy kręgiem nad mapami. Obradujemy, roztapiając się w cieple atmosfery i uprzejmości.

Wychodzimy od niego zachwyceni, znów nic nie wiedząc. Jest przejazd, czy go niema ostatecznie. Miły staruszek zna Burmę, jak własną kieszeń, ale tylko do jej granic. Automobil - klub to samo. Wreszcie przydzielony nam adjutant wiedzie nas do kogoś, kto już w tych stronach kiedyś był. Nie dalej, jak dwa tygodnie temu. Podróżnik w naszym stylu.

Wchodzimy do kancelarji adwokackiej. Dwie maszyny stukają na wyścigi. Przez otwarte okno wdziera się ulica. Zameldowani, za chwilę wchodzimy za drewniane przepierzenie. Przypuszczam szturm do nowego znajomego. Bardzo miły i ma niebieskie oczy.

Jest adwokatem z fachu, a poetą z zamiłowania, szkotem z urodzenia, a podróżnikiem raczej dla eksperymentu.

Rzeczywiście parę tygodni temu zawrócił z pół drogi zamierzonego spaceru. Niema mowy o przeprowadzeniu motoru. Muł z trudem się wspina po karkołomnych ścieżkach, w formie schodów, wykutych w skale.

Oglądamy zdjęcia. Trudno, trzeba zrezygnować. Jedyna możliwość ucieczki z tej zamkniętej bezdrożnej Burmy — to Siam. Teraz bardzo problematyczne, czy przedrzemy się przez dżungle i góry. Monsoon już w pełni.

— Zresztą nie czas i nie miejsce na dłuższe rozmowy. Jeżeli państwo są wolni dziś wieczorem, spotkamy się i razem wyruszymy na obiad.

Spotykamy się w hotelu, którego nazwa śmiertelnie szablonowa zatarła mi się w pamięci. Jak zwykle w przedwieczornej porze whisky and soda. Trzech panów. Jeden to nasz adwokat, drugi lotnik. Coś dla nas? Okazuje się, że nie. Z lotu ptaka góra, dżungla, ośli szlak, wszystko wygląda równie łatwo i malowniczo, a w tej porze roku bardzo mokro.

Trzeci jegomość bez wyrazu, zgubił się. Jedziemy we czwórkę dwoma samochodami za miasto.

W cienistej alei zakręt do ogrodu. Jakaś willa. Z mroków wyłania się trzecia maszyna, słychać głosy jej pasażerów: to siostra naszego nowego przyjaciela z mężem. Towarzystwo jest w komplecie. Zapuszczamy się znów w mroki.

Światła dzielnicy chińskiej. Boczny zakamarek. Wysypujemy się pod progiem jakiegoś sklepiku. Krzy-



. Na drzewach ptaki uwiesiły gniazda w formie szarych torebek...

I JEGO KLAN

własna z Burmy)

we schody skryte za ladą. Piętro. Klitki gabinetów dzielone ściankami z dykty. Okrągły stół. Parę krzeseł. I malowane, jak lalki, chineczki. Jest ich tyle co nas. Mieliśmy się czas odzwyczaić od damskiej obsługi, najstraszniejszej plagi restauracji.

Chineczki nakryły mały stół. Okazało się zbyt ciasno. Wobec tego, ponad naszemi głowami ściągnęły obrus, rozszerzyły blat. Znów nakryły, rzuciły przed każym sztućce. Jedno tak, drugie wspak. Główna dowodząca tego haremu przewiesiła się szczupłą piersią przez ramię naszego przyjaciela, i pokazując mu palcem jakieś chińskie specjały na chińskiej karcie, trzymanej tuż pod jego nosem zdecydowała, że mamy jeść to, a to. Trudno.

Nic ryżu, ani chleba, tylko tłusto, tłusto. Jakieś pampuszki. Mięso niewiadomego pochodzenia. I tłuste makarony. Jedynie herbata była świetna. (Nazajutrz wszyscy dziwiliśmy się, że jednak żyjemy, a nawet żołądki, chociaż mocno przemęczone — mamy w porządku. Dzięki whisky bezwątpienia).

Chineczki dłubały w tem żarciu rękami, przewracały patykiem i bez pytania każdemu wrzucały na talerz końskie porcje. Naturalnie talerz był ten sam przez całą ucztę.

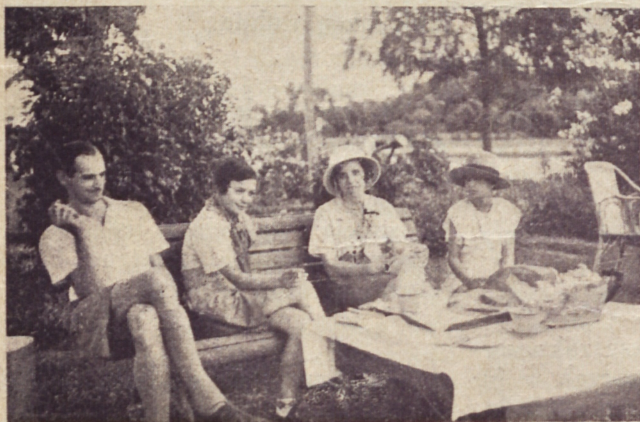
Po paru godzinach zdecydowały, że już mamy dosyć. Przemocą nałożyły nam mokre, gorące ręczniki na twarze i wystawiły słony rachunek.

Tego wieczora weszliśmy w dalsze porozumienie z naszymi nowymi szkockimi znajomymi. Herbata u Molly — siostry. Kąpiel w jeziorze. A za trzy dni obiad polski naszej roboty.

Tak dzień po dniu w przeciągu dni dziesięciu naszego postoju co raz głębiej wchodziliśmy w szkocki klan.

Na herbacie u Molly była Mariorie, jej kuzynek i wujaszek — głowa klanu. Jeszcze paru młodych ludzi, ale nie bardzo mogłam sobie później przypomnieć, kto. Zresztą naprawdę trudno się połapać, poznając naraz ze dwadzieścia osób, mieszkających w dwuch domach, gdzie każda pani jest ciotką, a jedynie wujaszek jest jeden. Herbata na Baundry - road, zakończona kąpielą w jeziorze na Ady - road.

Sześć mil za miastem, za wioską na polach, za bambusowym gajem i kauczukowym lasem skrył się



Herbata w zieleni ogrodu



W dzielnicy Cantonamentu

ten szkocki sheiling. Zasobne, szerokie bungalow z ciemnego drzewa, o szerokich werandach i spadzistym okapie dachów, rozsiadło się w dużym ogrodzie na brzegu błękitnego jeziorka. Wkoło łąki i las.

Przy domu na drzewach ptaszki uwiesiły gniazda w formie szarych torebek. Dużo, dużo, jedno przy drugiem. Na trawniku dzieci którejś z ciotek grają w barmingtona chińską monetą z piórkiem. I chodzą dwa scott-monstra. Jeden naprawdę scott, niebywale tłusty, a drugi — mezaljans z pekińczykiem. Ten metys ma paskudny charakter i okropną powierzchowność.

Herbata w zieleni ogrodu, lub whisky. Kąpiel w jeziorze cichym jak sen. Muliste, grząskie dno. Te rozkosze można mieć na naszej wsi w równie spokojnie wesołym nastroju, ale sheilingu szkockiego — nie.

Wujaszek, głowa klanu, kopie złoto. W górnym biegu Irrawaddy na precyzyjnie dokładnych planach czerwone kropy i linje oznaczają te miejsca tajemnicze.

Anti, numer pierwszy, żona wujaszka, wciąż podróżuje po Burmie. Jest przemiła, jak tylko kulturalne starsze panie być potrafią.

Wujaszek numer drugi jest głuchy jak pień. Wielka wojna. Zachodni front. Francuskie piosenki i zapał myśliwski. Wreszcie jego trofea. Nosorożce, tygrysy, pantery, niedźwiedzie. On też podróżuje.

Ciotka numer drugi jest bez wyrazu. Ma dzieci w dwuch wydaniach. Duże i małe. Sióstr jest dwie.

Gdy Mariorie wychodziła za mąż w lutym, ścięto wszystkie kwiaty z ogrodu. To był dar Anti-rodu. Ona bardzo kocha swe kwiaty i ogród.

W klanie jest pięć samochodów do dyspozycji rodu.

Wnętrze miłe urządzone artystycznie, znać zamiłowania ciotki, siostrzenic i siostrzeńca.

Niema cacka, drobiazgu brzydkiego.

Wujaszek o złocie nie mówił. Tajemnica. Ale bardzo lubi rozmawiać o Szkocji i jej rodach. Lubi opowiadać historję swego klanu, jak to jeden z praszczurów był przywódcą w buncie Johna Knoxa i zamordował biskupa katolickiego, jakiego — nie pamiętam.

Wchłaniałam szkocką atmosferę, chcąc wyczarować za oknami sheilingu urwiste, poszarpane wzgórza, kudłate woły na halach i pasterzy z kobzą, w spódnicach w kraty...

Znakiem krzyża świętego przeżegnała nas ciotka Anti na drogę. Wszyscy ucałowali serdecznie i szkocki sheiling, gniazdo klanu Leslie, skrył się przed naszemi oczami za gęstym gajem bambusowym.

TAK ZWANA „GARŚĆ AFORYZMÓW"

OPIŁKI TEATRALNE

Sytuacja w teatrach w ostatnich czasach znacznie się poprawiła. Dawniej sala była zazwyczaj do połowy p u s t a, a obecnie jest już do połowy p e ł n a.

*

Większość teatrów warszawskich ma takie powodzenie, że publiczność jest tam wpuszczana tylko za kartkami...

*

Pewien dyrektor świetnie prosperującego teatru w Warszawie chwalił się, że na samej tylko sprzedaży programów zarabia tyle, iż mógłby tem pokryć koszty związane z wystawieniem sztuki nawet, gdyby sala co wieczór świeciła pustkami.

*

W jednym z teatrów przedstawienie trwało któregoś wieczoru przeszło cztery godziny. Grano do ostatniego widza.

*

Według statystyki na dziesięciu ludzi, dziewięciu posiada silnie rozwinęty talent aktorski. Dziesiąty zaś zazwyczaj wstępuje na scenę.

*

W szatni po przedstawieniu panuje zazwyczaj ogromny tłok. Zupełnie słusznie jeden z bywalców teatralnych zauważył kiedyś: — Gdyby każdy z widzów siedział spokojnie na swoim miejscu i czekał aż wszyscy wyjdą, nie byłoby takiego tłoku.

*

Ktoś powiedział do dramaturga X: — Szkoda, że nigdy nie zobaczę twojej ostatniej sztuki na scenie. Akurat w dniu premiery nie będę obecny w Warszawie.

*

W większości teatrów z galerii nie widać ani aktorów ani sceny. Może tym się tłomaczy znacznie większy zachwyt publiczności na galerii niż w krzesłach.

MAŁY LEKSYKON TEATRALNY

Baryton— faza przejściowa między tenorem a człowiekiem.

*

Klakier — człowiek, który żyje z t. zw. pracy rąk.

*

Komik — człowiek, którego tylko jeden krok dzieli od tragizmu. Krok, który uczynił z tragicznego życia na scenę.

*

Koniec aktu — to, czego każdy się spodziewa i czym wszyscy są zaskoczeni.

*

Kurtyna — prostopadły pomalowany materiał tekstylny, który dzieli rzeczywistość, to jest scenę, od fałszu, to jest od widowni.

*

Niewypłacalność — rezultat kasowy sezonu teatralnego.

*

Oklaski — monotonny hałas, który powstaje wskutek automatycznego uderzenia o siebie płaskich części dłoni, również sztucznie wytwarzalny i przeważnie pozbawiony wewnętrznej treści moralnej, co nie przeszkadza, że są ludzie, którzy z oklasków żyją, płacą komorne, posyłają dzieci do szkół i latem wyjeżdżają do uzdrowisk.

*

Plotki — brzydka rzecz. A najbrzydsze w plotkach teatralnych jest to, że w stu wypadkach na sto są one prawdziwe.

*

Publiczność— abstrakcyjny wielogłowy sympatyczny potwór z epoki legendarnej obecnie wymarły i tylko w nielicznych egzemplarzach zachowany. Żywi się głównie kartkami.

*

Sufler — człowiek, który k r z y c z y na aktorów.

*

Tenor — kilka dobrze zakonserwowanych strun głosowych w futerale, który niekiedy ma uderzające podobieństwo do ciała ludzkiego.

Z NOTATNIKA (NIEDOSZŁEGO) BOGACZA

Trzeba być filozofem, by móc znieść bogactwo. Oczywiście innych.

*

Pieniądze są dziś jak duchy.. Nikt ich nie widzi — a wszyscy o nich mówią.

*

Bogactwo nie daje szczęścia. Ale za to pozwala wybrać najprzyjemniejszy rodzaj nieszczęścia.

*

Zresztą bogactwo samo nie jest wszystkiem. Trzeba mieć jeszcze gotówkę.

*

Są ludzie, którzy ze swojej fortuny mają tylko jedno: lęk, że ją utracą.

*

Jeśli człowiek biedny poślubia bogatą dziewczynę, nazywamy to małżeństwem z rozsądku. Jeśli jednak człowiek bogaty poślubia dziesięćkroć bogatszą dziewczynę, uważamy to za małżeństwo z miłości. Chyba, że panna młoda ma garb.

*

Największą niespodzianką, jaką nam daje bogactwo, jest poznanie tych wszystkich uroków życia, które można mieć bez niego.

*

Gdyby można było kupować ludzi po cenie, jakiej są doprawdy warci, a sprzedawać po cenie, jakiej uważają, że są warci, to byłby dopiero dobry interes.

*

Podobno gotówka staje się obecnie obcą walutą.

*

Są cnoty, które praktykować można tylko wtedy, gdy się jest bogatym.

*

Istnieją dwa rodzaje ludzi w dzisiejszych czasach: dyletanci bogactwa i wirtuozi ubóstwa.

*

Niektórzy ludzie mają więcej pieniędzy niż rozumu. Ale niedługo...

M. GŁ.

Z KRONIKI MUZYCZNEJ

Oryginalny konkurs w Paryżu

Niedawno założone w Paryżu Towarzystwo Przyjaciół Gabriela Fauré zarganizowało konkurs na najlepszą interpretację 6 Nocturnu (Des dur) tego kompozytora, celem nagrania tego utworu na płyty w możliwie najlepszym wykonaniu. W konkursie tym zastosowano oryginalny sposób zapewnienia obcym kandydatom (było ich tam 17 różnych narodowości) absolutnej bezstronności jury, złożonego głównie z muzyków francuskich. Kandydaci, dopuszczeni po pierwszych koncertach eliminacyjnych do ściślejszej rozgrywki, grali **za zasłoną**, oznaczeni w ocenie tylko według numerów porządkowych. Cztery najlepsze wykonania zostały nagrane, a z pośród tych czterech anonimowych płyt wybrano dopiero laureata, którym został pianista francuski Jean Dayen. Postępowanie to spotkało się z wielkim uznaniem krytyków francuskich, którzy twierdzą, że członek jury nie może być nigdy wolny od wrażenia, jakie robi wygląd kandydata, jego sposób siedzenia przy fortepianie, ruchy, a przede wszystkim jego przeszłość artystyczna.

Koncert muzyki ćwierćtonowej

Iwan Wychnogradzki, znany teoretyk i rzecznik muzyki ćwierćtonowej przedstawił ostatnio w Paryżu swoje własne utwory ćwierćtonowe, a mianowicie „Fragment symphonique" i „Ainsi parlait Zarathoustra", obie kompozycje na 4 fortepiany. Nie dysponując bowiem odpowiednim instrumentem, dostosowanym do muzyki ćwierćtonowej, poradził sobie w bardzo prosty i dowcipny sposób: pisze utwory na kilka fortepianów, różniących się między sobą strojem o ćwierć tonu. Nie jest to oczywiście pierwsza próba wprowadzenia do naszej muzyki systemu ćwierćtonowego; przedstawicielami tych dążności byli Hába i Busoni, lecz nie potrafili oni poprzeć swoich wywodów teoretycznych żywą muzyką. Podobnie i Wychnogradzki nie przekonał słuchaczy o konieczności wprowadzenia tak zasadniczych zmian w naszym systemie tonalnym, gdyż — zdaniem krytyków francuskich — jego typowo romantyczna muzyka (silne wpływy Wagnera i Skriabina) nie wymaga wcale takich rewolucji, chociaż harmonika ćwierćtonowa nadaje bezsprzecznie ciekawe zabarwienie.

Festivale niemieckie

Niemcy przygotowują w tym roku szereg uroczystości muzycznych: w kwietniu i maju mają się odbyć „Berlińskie tygodnie Muzyczne", następnie uroczystości goetowskie w Düsseldorfie. Na lato zapowiedziane są „Roemerberg-festspiele" w Frankfurcie n/M. i— obok wielu innych festivalów „3 dni muzyki domowej" w Cassel. (Już w październiku ubiegłego roku odbył się festival w Cassel pod hasłem „Neue Hausmusik").

Doroczne przedstawienia Wagnerowskie w Bayreuth odbędą się w dniach 23 lipca — 21 sierpnia. Dyrygentami będą Tietien i Furtwängler, który ma następnie dyrygować jednym z koncertów filharmonijnych podczas festivalu w Salzburgu. *I. H.*

Kto właściwie prowadzi Operę?

Słuszne zapytania i uwagi pod adresem Dyrekcji Opery Warszawskiej ogłasza w jednym z ostatnich numerów Kurier Polski.

Notatkę Kuriera podajemy w całości:

„Opera warszawska wprowadziła od pewnego czasu zwyczaj urządzania w swoim gmachu różnego rodzaju imprez o charakterze baletowo-wokalnym. Nie mamy zamiaru ani ochoty zastanawiać się nad tem, czy i o ile imprezy takie, urządzane coraz częściej, znajdują usprawiedliwienie ze stanowiska artystycznego.

Chodzi nam o co innego. Organizatorami tych imprez są wyłącznie agenci teatralni, wśród których na pierwszem miejscu figuruje niejaki pan Izrael Orenstein. Agenci ci uważają się na odcinku organizowanych przez siebie imprez za dyktatorów. Oni to decydują, które pisma mają być zaproszone, przyczem rozstrzygają tu względy najzupełniej postronne. W rezultacie panowie Orensteinowie sprawują coś w rodzaju cenzury nad prasą.

Mamy wrażenie, że taki stan rzeczy nie może i nie powinien być tolerowany przez dyrekcję Opery. Wynajmując salę dyrekcja Opery musi dbać o to i myśleć o tym, aby zasady lojalności wobec prasy były przestrzegane. W przeciwnym razie powstaje pytanie: kto właściwie prowadzi Operę — dzierżawcy, względnie wyznaczeni przez miasto dyrektorzy, czy też panowie Orensteinowie".

Z WYDAWNICTW ARTYSTYCZNYCH

Omawiając ostatnie wydawnictwa artystyczne, wspomnieć najpierw należy o ostatnim zeszycie „Głosu Plastyków". Znacznie powiększonych rozmiarów numer ten poświęcony jest w znacznej mierze Cézanne'owi zawiera pozatem szereg interesujących, doskonale ilustrowanych artykułów z różnych dziedzin i epok sztuki, oraz wspomnienia poświęcone pamięci zmarłego redaktora „Głosu plastyków", Kazimierza Mitery.

* * *

Luksusowo wydawane „Arkady" są zawsze radością dla oczu. Ostatni numer zawiera recenzję z Salonu 1937 w IPS-ie, artykuł oświetlający rolę architekta włoskiego Sant Elia w nowoczesnej architekturze funkcjonalnej, ciekawy i pięknie ilustrowany artykuł P. Smolika o „Hellenistycznym portrecie rzymsko - egipskim", artystyczne fotografie dra Przypkowskiego, art. R. Przeździeckiego o trzech portretach Władysława IV przez Rubensą, i rozważania na temat sztuki użytkowej nowoczesnej w różnych jej przejawach, jak plakaty, ceramika, ozdoby z metali etc.

Jak zawsze, „Arkady" stoją na wysokim poziomie i wyróżniają się wśród polskich wydawnictw zbytkowną szatą graficzną, na jaką żadne z prywatnych wydawnictw pozwolić sobie niestety nie może.

Z. N. Ch.

ŚWIAT TEATRU

Teatr Nowy

„Nagroda literacka" — komedja w 4 aktach Marji Jasnorzewskiej - Pawlikowskiej. Reżyserja Jerzego Leszczyńskiego, dekoracje St. Jarockiego.

Było tak: Albin Niekawski, nierób i lekkoduch, ale zato szczęściarz, miał przyjaciela, Klemensa Niedzickiego, prawego, pracowitego profesora „dobrego wychowania fizycznego", jak mówi stara służąca. Ten sportsmen i rekordzista jest jednak pozatem wielkim talentem pisarskim — i pocichu płodzi siedem powieści i wiele nowel, nikomu nie zwierzając swej tajemnicy. Przez zbieg okoliczności dostaje się jedna z jego nowel na... konkurs literacki. I otrzymuje — pierwszą nagrodę. Ku rozpaczy autora, który chce „tworzyć dla siebie", „uniknąć śmieszności sławy" i t. p. i t. p. Przyjaciel podsuwa mu więc myśl, że przecież mógłby dalej tworzyć, ale wydawać swe arcydzieła pod cudzem nazwiskiem. Pod czyjem? No, chociażby pod jego, Albina Niekawskiego.

Odtąd dzielą się pracą w ten sposób, że Albin nazewnątrz odgrywa rolę autora, sprytnie pilnuje interesów finansowych i reklamy — a Klemens pisze. Dochodami dzielą się skrupulatnie po połowie.

Początek doskonały — czysto farsowy — sytuacja postawiona na głowie, ale właśnie tak jest dobrze. Dalej jednak perypetje serc, interesów, karjery literackiej, małżeństwa — plączą się ale wpadają w banał. O jakiekolwiek psychologiczne postawienie swych marjonetek autorka wogóle się nie pokusiła. Wszystkobyśmy jej jednak wybaczyli, gdyby dowcip był równie oryginalny i ostry jak na początku sztuki. Niestety — gdy i djalog zawodzi — farsa kończy się wśród obojętności widzów, a doskonali aktorzy, grający w tej sztuce, mimo nadludzkich wysiłków uratować jej nie mogą.

Leszczyński zagrał znakomicie głupawego ale sprytnego, przymilnego ale chamskiego pseudoliterata. Obdarował go wszystkiemi atutami swego uroku i zrobił z niego miejscami figurę prawie sympatyczną. Klemens — sportowiec i literat, rekordzista i myśliciel — (takiego stworzyć może tylko fantazja poetki, bo po świecie takie fenomeny nie chadzają) — to uosobienie wszystkich cnót moralnych, fizycznych i umysłowych. Zagrać tę kukłę i nie obrzydzić jej widzom — to był wielki wyczyn Hnydzińskiego. Wybrnął bardzo szczęśliwie z opresji i dał sylwetkę prawie prawdopodobną.

Nowoczesną panienkę zagrała Lubieńska z tym kapryśnym wdziękiem, który stanowi jej specjalność. Dulębiance jeszcze raz przypadła w udziale cyrkowa rola skretyniałej starej arystokratki. Rola, jak mozaika składała się z drobnych i nieznośnych gierek, wielokrotnie już przez artystkę wyzyskanych. Doskonała w roli starej służącej Krzymuska.

Reżyserja Jerzego Leszczyńskiego ożywiła wszystkie marjonetki i wydobyła z nich wielokrotnie cechy ludzkie. Jednak i reżyser zapełnić nie mógł pustki, która zionie z ostatnich dwuch aktów sztuki.

Z. N. Ch.

„Horsztyński" Słowackiego w Teatrze Narodowym

Dziwnie niejednolite są kryterja stosowane w różnych dziedzinach sztuki.

Gdyby komukolwiek przyszło na myśl „uzupełnić" niedokończony fresk czy obraz dawnego mistrza —





.etwerowicz i Łabiński w scenie komicznej



Ludwik Solski jako Horsztyński

Wszystkie zdjęcia J. Malarski



Józef Węgrzyn w roli hetmana i Świerczewska w roli Amelji w „Horsztyńskim" J. Słowackiego w Teatrze Narodowym w Warszawie

uznanoby to jednomyślnie za barbarzyństwo. W sztukach plastycznych panuje już powszechnie przekonanie, że „dorabianie" brakujących fragmentów równa się „podrabianiu" — czyli fałszerstwu.

Przejdźmy do muzyki. Gdyby najsłynniejszy wirtuoz poprzestawiał nagle poszczególne części koncertu czy sonaty, zmieniając ich porządek ustalony przez kompozytora — uważanoby słusznie wirtuoza za szaleńca, albo za prostaka. Tu również istnieją kanony, których naruszyć nie wolno.

Wszystkie kanony jednak — a zwłaszcza wola samego twórcy — ulegają zagładzie w dziedzinie sztuki scenicznej. Słowacki pozostawił luki w „Horsztyńskim" — byle kto dorobił „kawałki", jak rażące łaty — i marsz na scenę! Słowacki w pewien określony sposób uszeregował swoje wizje dramatyczne. Przychodzi (może nawet szacowna) osoba, nie mająca z twórczością poetycką nic wspólnego — i w imię swego reżyserskiego autorytetu zmienia porządek scen. I kto mu co zrobi?

Takie są niestety prawa — czy bezprawia — w teatrze...

Co z żalem podkreśliwszy — zaznaczyć wypada, że przedstawienie w Teatrze Narodowym stało jednak na wysokim poziomie odtwórczym, a Solski w roli Horsztyńskiego dał jedną ze swych niezapomnianych kreacyj.

Z. N. Ch.

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

POWIEŚĆ

Z Belgradu — od Towarzystwa przyjaźni Słowiańskiej — z propozycją przyjazdu tam dla wygłoszenia odczytów o filozofji polskiej. Taki sam list z Pragi. Z Brukseli Uniwersytet Ludowy prosił go o cykl wykładów o reformie walutowej. Związek Młodej Katalonji z Barcelony pytał go, czy nie przyjechałby dla bliższego zapoznania społeczeństwa, walczącego o niepodległość, z nową ideologją polską. Uniwersytet Harvard z Ameryki pytał o warunki gościnnych wykładów. Związek Odrodzenia Indji z Allahabad prosił o przysłanie większej pracy — jeżeli jest taka — o tym samym przedmiocie, o którym mówił przed członkami kongresu, ewentualnie o przyjazd. To samo z Asuncion, stolicy Paragwaju.

Czyżby rykoszet bomby z *Odd Fellow*?

Zim był trochę zaskoczony, bo to wyglądało za dobrze. Wyglądało zresztą tak, jakby tym wszystkim kierowała jedna ręka.

Ale czyja i w jakim celu?

Żeby go zgubić, czy żeby go wynieść.

Czy istotnie poselstwa i korespondenci pism zagranicznych zrozumieli tam, przy ulicy *Bredgade*, że coś wielkiego się dzieje, że ci trzej, którzy — co tu owijać w bawełnę, rozbili kongres, to są nowożytni encyklopedyści, duchowni ojcowie jakiejś potężnej, nowej, idącej rewolucji bez rewolucji! Czy świat już doszedł do tego znużenia, że czujnie śledzi za każdym promieniem światła i chwyta każdy błysk nadziei.

Może tak jest!

Odpowiedział wszystkim niezwłocznie i bardzo uprzejmie, ale odkładając decyzję na później.

Tymczasem zajął się wyłącznie jednym przedmiotem, — założeniem Instytutu Badania Zagadnień Ustrojowych , jak doradził sam Minister. Do Instytutu zaprosił oczywiście „współwyznawców", ale i ludzi „sprawiedliwych" z innych ugrupowań intelektualnych. W tej formie stworzył ciało, które będzie się wypowiadało oficjalnie, proszone czy nie proszone, w każdej sprawie państwowej aktualnej, i w ten sposób przyzwyczai opinję do rozwiązań opartych na prawach niezłomnych. więc nieomylnych.

Postawił instytucję na nogi i wyjechał do Hagi.

W Berlinie, na stacji Alexanderplatz miał niespodziankę. Do wagonu wsiadł — Sullivan.

— Babbitt, *how do you do* — wyrwało się Zimowi.

Sullivan — jak zwykle — był bardzo serdeczny. Przeglądali kilka godzin. Sullivan jechał do Londynu przez *Hook van Holland*, więc mieli czas. Jechał na jakąś konferencję, o której nie mówił otwarcie.

Ale pozatem był znów strasznie szczery. Wypytywał szczegółowo Zima o zamiary. Zim, jak zawsze, działający jawnie powiedział, że jedzie naokoło świata, by nieść dobrą nowinę.

— A kto cię finansuje?

— Nikt. Są przecież tacy, co bez grosza, na rowerze, objeżdżają kulę ziemską albo na żaglówce. Nie wątpisz chyba, że jabym to potrafił.

— Hm hm, mogę ci dać różne listy polecające...

— Dziękuję.

— Bo ja mam wszędzie stosunki.

— Wiem jakie. Będę je omijał — śmiał się Zim.

— Mylisz się — pospiesznie gadał zafrasowany Sullivan. — Wiele się zmieniło w bardzo krótkim czasie. Przed odczytem twoim i Corneliusa a po waszych występach — to cała epoka. My się szybko orjentujemy. Trzeba być głupcem, by nie rozumieć, że wy wytworzycie taką elitę,z którą wszystkie potęgi świata będą się liczyły i ulegną jej. A ponieważ my nikomu nie ulegamy, więc — rozumiesz — — —.

— Nie bardzo.

— Jak się nie chce być „pod", a nie można „nad", i nie można mieć szans zwycięstwa w walce, to trzeba — — —

I wykonał ruch ręką bez określonego znaczenia.

— Aha! — Zim udaje, że nic nie rozumie. — My nie koniecznie — — —

— Ale my koniecznie — krzyczał Sullivan. — Przytem ty nie należysz do tych ludzi, co to kule ich się nie imają.

Zimowi strzeliła do głowy myśl: — wyrzucony z samochodu wpadł do kanału.

Spojrzał Sullivanowi w oczy.

Nie miały żadnego wyrazu. Ot, zwyczajny faktor i Babbitt.

Kelner z wagonu restauracyjnego prosił ich na obiad.

Zażądali osobnego stolika.

Ekspres pędził jak oszalały, naczynia na stole dzwoniły, łyżka z zupą nie odrazu trafiała do ust.

— Czy ty rozumiesz, dlaczego myśmy się tak zaprzyjaźnili? — zapytuje Sullivan.

— Powinieneś się był dawno już przyzwyczaić do tego, że ja wszystko rozumiem, nawet w nieznanym mi języku, — śmiał się Kazimierz.

— Ach, ty, magu. Tylko niepotrzebnie w waszym trójgłosie był ten ksiądz.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to było potrzebne. Musi przecież nastąpić zbliżenie religji do filozofji, jak nastąpiło już zbliżenie filozofji do nauki.

— Tak, ale — — —

— Nie bądź zaściankowy. Religja jest najistotniejszą funkcją ducha ludzkiego i — śmieszni jesteście, walcząc z nią.

— My nie walczymy z religją, wiesz o tem, tylko z — — — eh, co tu gadać.

Rozstali się na granicy, bo Sullivan musiał zmienić pociąg.

Zim pierwszy raz znalazł się w Holandji, z ciekawością też obserwował pejzaż, skąpany w słońcu i deszczu, które codziennie — na zmianę — czyszczą tu powietrze. Wilgoć przezroczego powietrza sprawia, że cienie kładą się mocno, odcinając ostro jasność od ciemności, jak na obrazach Rembrandta. Teraz dopiero chwycił tajemnicę światłocienia w jego genezie.

Podjeżdżając do Hagi zestawił sobie w myśli tę chwilę z podobną przed trzema miesiącami, gdy zbliżał się do Warszawy. Nikt tam na niego nie czekał, nie spodziewał się on ciepłego przyjęcia, był raczej pewny, że boczyć się będą na niego, jakoże z łask wypadł...

Tu oczekiwać go będzie prawdziwa miłość, rzetelny przyjaciel...

Z okna zobaczył już Ninę na peronie. Stała obok Willy'ego.

Był bardzo spragniony jej głosu, jej ciepła, jej całej. Pisywała do niego wprawdzie często, ale w listach jej wyczuwał jakgdyby omijanie pewnych spraw czy przeżyć, widać z nich tylko było, że umysł jej spoważniał, że odczuwanie pogłębiło się i że nowe, świetne warunki bytu bynajmniej nie wpłynęły na nią rozluźniająco. Nawet było może wprost przeciwnie. Można było w listach obserwować pewne stężenie jej jaźni.



Występy artystów wiedeńskich z Lili Darvas i Hansen Jarayem w Teatrze Polskim w dn. 23, 24, 25 i 26 kwietnia r. b., w komedii Bus-Fekete'go „Jean"

I można jej było teraz nie poznać. Inne stroje, nieznane mu jeszcze... Nieco zeszczuplała.

Zauważyła go. Biegnie. Jak ona zręcznie biegnie! Co za lekkość dotknięcia ziemi, — takiej dużej dziewczyny.

Staje przy wagonie.

— Hallo, hallo!

(D. c. n.)

PRASA WOJSKOWOŚCI POLSKIEJ NA WYSTAWIE

W MUZEUM WOJSKA W WARSZAWIE

Prasa wojskowości polskiej stanowi bardzo ciekawy, aczkolwiek mało szerszemu ogółowi znany dział specjalny prasy rodzimej. Możność zapoznania się z całokształtem tej nieznanej prasy wojska polskiego daje wystawa specjalna urządzona w Muzeum Wojska z inicjatywy i staraniem Związku oficerów rezerwy z okazji przypadającego w r. b. 15-lecia istnienia tej korporacji kulturalno - towarzyskiej, zespołu ludzi związanych najściślej z szeregami armji czynnej i pracujących na różnych odcinkach życia publicznego.

Wystawa ta daje obraz poglądowy liczebności oraz różnorodności wydawnictw, składających się na całokształt prasy wojskowej, jako do pewnego stopnia osobnego rodzaju broni i łączności między wojskiem i jego pracą a życiem innych sfer społeczeństwa.

Urządzeniem wystawy zajął się prof. Stanisław Jarkowski, wybrawszy ze zbiorów własnych oraz ze zbiorów różnych bibliotek szereg cały cennych druków starych i nowoczesnych.

Biblioteka Narodowa oraz prof. J. Michalski użyczyli na wystawę pewną liczbę najstarszych druków nowiniarskich XVII i XVIII stulecia, zawierających polskie „militaria" — wiadomości i relacye o wydarzeniach wojskowych — o zwycięstwach oręża polskiego, niejednokrotnie sporządzane w obozach wojskowych, a następnie przedrukowywane na tłoczniach typografów w różnych miastach dawnej Rzpltej „dla informacyey pospolitey". Są tu „Nowiny z Inflant" o wielkiej porażce Xiążęcia Sudermańskiego przez Hetmana Karola Chodkiewicza pod Kircholmem R. P. 1605. Są też przeróżne stare przygodne lub nawet „ordynaryine" już „gazety" — „nowiny" polskie naprz. o wyjeździe wojska tureckiego na wyprawę przeciw Polsce z Konstantynopola a to „z pomówienia krajów luterskich i Czara Moskiewskiego R. P. 1634 oraz inne „nowiny" nawet wierszowane, naprz. **„Na trąbę — odpowiedź żołnierska"...**

Oprócz tego rodzaju „prasy" najdawniejszej w Polsce, traktującej sprawy wojenne wieku XVII, a umieszczonej w górnej sali Muzeum Wojska, obok pamiątek wojskowych tej doby aż do czasów saskich, znalazło się w sali, poświęconej dobie powstania Kościuszkowskiego, kilka ciekawszych gazet, przepojonych duchem insurekcyjnym i wypełnionych przeważnie wydarzeniami wojny narodowej po ostatnim rozbiorze Rzpltej.

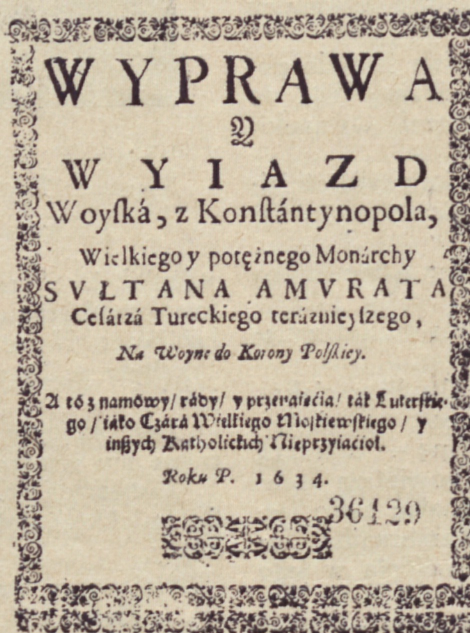
Z lat niewoli narodu 1795—1914 pokazano prawie wszystkie nieliczne elementem wojskowym przesiąknięte perjodyki polskie, przedewszystkiem zaś owe pierwsze raczej polityczne niż zawodowe pisma dla wojska wydawane po r. 1815 i w dobie powstania listopadowego (1830 — 1831). Wspomnimy tutaj użyczone przez Bibliotekę Uniwersytecką w Warszawie:

1 pismo gazetowe p. t. **Inwalid ruski czyli wiadomości wojenne,** redagowane po polsku w Petersburgu od r. 1817 do r. 1833, później zaś już tylko po rosyjsku publikowane i z czasem na urzędowy organ rosyjski nad Newą przeistoczone;

2) założone w r. 1830 i wydawane przez czas jakiś w Warszawie po wybuchu pwstania pisemko **Podchorąży.**

3) pismo dodatkowe do **Gazety Polskiej** przeznaczone specjalnie dla wojska p. t. **Szczerbiec** oraz

4) **Dziennik Gwardyi Honorowej** akademickiej — zawieszony przez Chłopickiego za zbyt natarczywy ton w stosunku doń, jako szefa wojska...


WYPRAWA
Y
WYIAZD
Woyſká, z Konſtántynopola,
Wielkiego y potężnego Monárchy
SVLTANA AMVRATA
Ceſárzá Tureckiego teráznieyſzego,
Ná Woynę do Korony Polſkiey.
Z tego namowy/ rády/ y przeważenia: ták Luterſkie-go/ iáko Czárá Wielkiego Moſkiewſkiego/ y inſzych Katholickich Nieprzyiaciol.
Roku P. 1634.
36129

„Nowina" z r. 1634
ze zbiorów prof. J. Michalskiego

Zbiory Rapperswilskie użyczyły na wystawę kilka pism emgracyjnych, poruszających sprawę walki zbrojnej o niepodległość ojczyzny, z lat 1832 — 63.

Pozatem znalazły się wśród prasy tajnej z czasów powstania styczniowego r. 1863 i z dwu lat poprzedzających ten zbrojny ruch wyzwoleńczy narodowy pisma podające „doniesienia z placu boju" i t. p.

W pięćdziesięcioleciu popowstaniowem (1864 — 1914) nie było prasy wojskowej polskiej, poruszające zaś sprawę zbrojnego ruchu niepoległościowego wydawnicwa prasowe miały charakter raczej wybitnie polityczny i agitacyjno - rewolucyjny. Dopatrywać można się w nich zaledwie czegoś w rodzaju przysposabiania do wojskowości w pismach organizacyj sokolskich, skautowych i harcerskich oraz strzeleckich, jakie dopiero na kilka lat przed wybuchem wojny światowej zjawiać się poczęły.

Umieszczona zaś na wystawie podobizna tajnego wydawnictwa **Robotnika** wiąże się nietyle z wojskowością, ile z osobą późniejszego twórcy legionów polskich, pierwszego marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, jako drukarza, pisarza i wydawcy „bibuły" rewolucyjnej dla najszerszych sfer robotniczych...

Pierwszy numer pierwszego polskiego pisma wojskowego wyszedł, z druku, jak czytamy w jego napisie nagłówkowym w 120-tą rocznicę insurekcji kościuszkowskiej — w kwietniu 1914 r. pod tytułem „Strzelec" z inicjatywy komendanta Piłsudskiego pod redakcją Edwarda Rydza - Śmigłego w Krakowie, jako pismo polskich związków strzeleckich, i ukazywało się jako miesięcznik do r. 1918, przeniesione w jakiś czas po swem założeniu do Lwowa.

Jednocześnie z tym pismem istniało drugie pismo „instrukcyjne" pod nazwą **Podchorąży...**

Po nich dopiero zjawiają się inne wydawnictwa, poczynając od **Dziennika Komisarjatu Legionów w Kielcach,** później zaś wydawnictwa legionowe w Cieszynie i w Zagłębiu Dąbrowskiem pod różnemi tytułami z redagowanym na szerszą skalę tygodnikiem **Wiadomości Polskie** na czele, zrazu w Cieszynie, a następnie w Piotrkowie (1914 — 1917) z dodatkiem dla żołnierza polskiego p. t. **Dekada...**

Pozatem roiło się od przeróżnego rodzaju pisemek ręcznie robionych lub hektografowanych w rowach i okopach strzeleckich i na legionowych placówkach. Poczet ich liczny otwiera pierwsza spośród zachowanych tego rodzaju „gazetek polowych", **Jednodniówka świętalna legionów.** W jej sąsiedztwie znala-

zły się **Legionówka** oraz gazetka - miniatura pod nazwą **Aspiryna** i nieco większa, wyblakła już gazetka pisana **Brukiew**, jak również gazetka z trudnym już do odczytania tytułem **Drut** i inne skrzętnie przechowywane w Archiwum Wojennem i w Centralnej Bibliotece Wojskowej i stamtąd wypożyczone do gablot wystawowych. Tu ponadto widnieją z innych zbiorów pochodzące „poważniejsze", bo większe nieco i lepiej hektografowane numery pisma **Konferencja Pokojowa** z wezwaniem: „Legioniści wszystkich krajów łączcie się", numer pisma **Zuchowaty**, tudzież popularny **Reluton** i **Obijak** oraz inne, zanim powstały regularnie i stale już od r. 1918 wydawane gazety żołnierskie: **Wiarus** w Warszawie i **Żołnierz Polski** w Krakowie, imiennik później wydawanego w Warszawie tygodnika oraz pierwsze pismo naukowe treści wojskowej **Bellona** w Warszawie.

Nie brakło też pism wojskowych różnego autoramentu wśród polskich formacyj na Wschodzie — w Rosji europejskiej i azjatyckiej. Niejedno z nich podobnie do formacyj, w których wychodziły, wędrowało z miejsca na miejsce, z jednego postoju na drugi. Ukazywały się one pod różnemi tytułami: w Petersburgu (**Polskie Siły Zbrojne, Żołnierz Polski** i in.. w Kijowie (**Wiadomości Wojskowe**). w Odessie, w Omsku i w Charbinie, Jekaterynodarze (**Wiadomości Polskie**) i gdzieindziej. Były wśród nich czasopisma drukowane, typu przeglądów i typu gazetowego. Były jednak również hektografowane i powielane w inny sposób... W obozach jeńców wojennych w Niemczech i we Francji mieli jeńcy - Polacy własne przez siebie wydawane gazetki i pisma. W Niemczech — w Gardelegen i w Celle istniały pisma: **Wiarus, Jeniec** i **Gość**, wypuszczające nawet „dodatki nadzwyczajne" satyryczno - humorystyczne p. t. **Gwóźdź.** Pozatem później nieco (w r. 1918) wychodził w Berlinie drukowany tygodnik Towarzystwa opieki nad jeńcami - Polakami p. t. **Przyszłość.**

We Francji — w Le Puy ukazywało się pismo p. t. **Jeniec - Polak.** Po utworzeniu na ziemi francuskiej kadr wojska polskiego wychodził hektografowany **Biuletyn Armji polskiej we Francji.**

W Ameryce poza tygodnikiem **Sokół polski**, istniejącym od kilkunastu lat przed wybuchem wojny światowej i służącym czasu wojny sprawom wojskowych oddziałów polskich wychodziły po r. 1915 różne biuletyny i pisemka wojskowe polskie na terenie Stanów Zjednoczonych, jak naprz. pismo dla wojskowych polskich w Kurytybie (**Ognisko**).

Na ziemi włoskiej, gdzie ongiś Cyprjan Godebski prowadził przed r. 1800 mówioną, a ponoć nawet pisaną gazetkę pod nazwą **Dekady polskiej** dla żołnierzy z Legionu Dąbrowskiego, — w r. 1918 zaczął wychodzić perjodyk polski p. t. **Żołnierz Polski we Włoszech** zainicjowany i redagowany przez płk. Marjana Dienstla - Dąbrowę.

Ożywia się prasa wojskowa polska po dniu 11 listopada 1918 r. Zjawiają się przedewszystkiem **Dzienniki Rozkazów wojskowych** zarówno przez Ministerstwo Spraw Wojskowych wydawane, jak i przez dowództwa okręgowe publikowane. Powstają pisma wojskowe treści specjalnej poza wspomnianemi już wydawnictwami treści ogólnej.

Większość ich ukazuje się w Warszawie. Sporo ich, jest jednak i w innych ośrodkach wojskowych. Wyróżniają się wtedy wydawnictwa poznańskie: gazeta **Ku chwale Ojczyzny,** czasopisma **Wiadomości techniczne wojskowe** oraz **Flota napowietrzna** lub pisma oświatowo - kulturalne przez wojskowość dla ludności wydawane jak np. w Toruniu — **Straż nad Wisłą.**

Specjalny rodzaj prasy wojskowej — gazety żołnierskie treści ogólnej informacyjnej przynosi rok 1920 czasu nawały bolszewickiej. Dowództwo każdej armii stara się je wydawać. Pozatem zjawia się cała masa pisemek żołnierskich i gazet polowych treści rozrywkowej.

Po r. 1920 rozpoczyna się rozwój prasy wojskowej wraz z różniczkowaniem się jej organów według treści specjalnej. Przy założonej w r. 1920 gazecie wojskowej **Polska Zbrojna**, z inicjatywy ówczas majora Remigjusza Kwiatkowskiego powstaje cały szereg czasopism dodatkowych treści specjalnej fachowej oraz dodatków ilustrowanych dla dzieci (**Mała Polska Zbrojna**). Niezależnie od tego utrwalają się samodzielne pisma wojskowe specjalne, jak **Przegląd Piechoty, Przegląd Artyleryjski, Przegląd Wojskowo - Techniczny, Przegląd Kawaleryjski** i inne. Zjawia się czasopismo treści ogólnej **Przegląd Wojskowy** oraz specjalny **Przegląd Wydawnictw Wojskowych.** Mają je organizacje kombatanckie **Fidac** ma je Związek Oficerów Rezerwy, mają inne związki, jak naprz. żołnierzy ociemniałych, mają je też organizacje przysposobienia wojskowego, młodzieży szkolnej, kobiet i inne. Ma własne organy prasowe duszpasterstwo wojskowe. Marynarka i lotnictwo też zdobywają się na własne organy prasowe popierane przez wydawnictwa instytucji współdziałających propagandowo i w inny sposób z rozwojem morskiej i powietrznej siły zbrojnej Odrodzonej Rzpltej.

Wszystkie te wydawnictwa odpowiednio ugrupowane znalazły się w szeregu gablot w sali broni palnej długiej z drugiej połowy wieku XIX i XX przy wejściu do Muzeum Wojska i witają zwiedzających, otwierając zarazem sobą jakby rewję prasy całej polskiej siły zbrojnej i organizacyj pomocniczych w pałacu Muzeum Wojska Rzpltej.

Mil.


GAZETA
POWSTANIA POLSKI.

NRO. 5.
29. Kwietnia
Roku 1794.

w Warszawie w Drukarni na Krakowsk: Przedmieściu Nro 380. przeciw Poczty. Przez Tadeusza Podleckiego.

TADEUSZ KOSCIUSZKO.
Neywyższy Naczelnik siły zbroyney
NARODU POLSKIEGO.

DO TEGO PORTRETU.

Oto iest żywy Portret Neywyższego teraźnieyszego Naczelnika Siły Zbroyney Narodu Polskiego, który że iest prawdziwie trafiony nad wszytkie insze Rysunki, tak powszechnie uznaią, iakim Go widzieli w Oryginale po skończoney przeszłey Woynie. Oto iest wyobrażenie tego, który dał dowody i Zdatności i Męstwa swoiego na Woynie Amerykańskiey, o czym od całego Swiata niezaprzeczona dotąd stoi prawda. — Który potym powróciwszy do swey Oyczyzny, gdy się pora otworzyła ratowania iey, zostawszy tylko General-Majorem, czegoż nie dokazywał, mianowicie pod Dubienką, w kilka tysięcy Woyska, przeciwko kilkonastu tysięcy Moskwy, a ieszcze przy Ordynansie cofania się, jak wiadome, że cała tamta Kampania, była tylko cofaniem się. Który i teraz przy samym iuż konaniu swey Oyczyzny, pierwszy porwał się Ją ratować w dniu 24. Marca Roku teraźnieyszego, a gdyby był nie pośpieszył, iużby był dotąd Jey pogrzeb.

Żeby

Gazeta z czasu powstania Kościuszki 1794 r.



Część wydawnictw legionowych i sprawie legionów poświęconych

Ze zbiorów prof. Stanisława Jarkowskiego, Centralnej Biblioteki Wojskowej, Informacji Prasowej Polskiej, i in.

PORADNIK KOSMETYCZNY PANI ZOJI

Zamiłowanie kobiety do piękna, pragnienie pięknego wyglądu jest tak wielkie, że przekłada ona go często nawet ponad zdrowie.

Słyszeliśmy nieraz, w okresie mody bladej cery, że panienka, aby mieć interesującą bladą cerę — pije ocet; ostatnio w dobie mody wysmukłej linji niejedna pani przeprowadzała forsowną głodówkę — powodując opuszczenie kiszek, żołądka, wątroby, rozstrój nerwowy i t. p.

A w istocie rzeczy jest wprost przeciwnie — zapewnienie pięknego wyglądu musi mieć za podstawę — zdrowie!

Zdrowie! harmonijną budowę całego ciała, elastyczność i sprężystość mięśni, dobre funkcjonowanie wszystkich narządów, silne, zdrowe nerwy.

Dlatego też nowoczesna kosmetyka obejmuje w swych ramach: djetetykę, gimnastykę, sporty i wszystkie zabiegi higjeniczne.

Ostatnie doświadczenia powojenne wytworzyły odmienne pojęcie zdrowego wyglądu.

Dawniej, oznaką zdrowia w pierwszym rzędzie była tusza.

Każda matka wychowując maleństwo, starała się naładować go największą ilością rzeczy odżywczych i widząc, że bobas wygląda jak kulka uważała, że to jest szczytem zdowia.

Obecnie czytamy często — „otyli ludzie żyją krócej", lub słyszymy, że nadmierna tusza jest skutkiem złej przemiany materji.

W nowoczesnem pojęciu ideałem zdrowego wyglądu jest człowiek szczupły o silnych sprężystych mięśniach.

I ten właśnie zdrowy wygląd — pokrywa się z nowoczesnym pojęciem pięknego wyglądu. Dlatego też pragnąc dobrze i pięknie wyglądać—*dbajmy o zdrowie.*

Djetetyka kosmetyczna, gimnastyka kosmetyczna, modne sporty — wtedy tylko dadzą nam upragniony piękny wygląd, — o ile jednocześnie zapewnimy sobie zdrowie.

W drodze do osiągnięcia pięknego wyglądu — pamiętajmy o zdrowiu.

Zapewniając sobie zdrowie osiągamy jednocześnie nie tylko piękny wygląd — lecz trwałą i długą młodość!

W następnych rozdziałach omówimy kolejno, gimnastykę, kąpiele, opalanie się, djetetykę, sporty.

Dodatkowych wyjaśnień udziela Pani Zoja, Kierowniczka Salonów Kosmetycznych „Gracja" w godz. 12—14 i 18—19 przy ul. Wilczej 35.

GDY KRYZYS SIĘ SKOŃCZYŁ...

W chwili, gdy nie tylko osiągnęliśmy „dno kryzysu", ale zaczynamy się szybko wspinać w górę koniunktury, szerokie pole otwiera się przede wszystkiem dla tych, którzy posiadają mniejsze lub większe zasoby i mogą tworzyć własne warsztaty pracy.

Każde ciągnienie Loterii Państwowej — a jest ich dwanaście do roku — przysparza krajowi kapitalistów, rozporządzających płynną gotówką, tak bardzo pożądaną przy wszelkich poczynaniach o charakterze gospodarczym; tę samą dodatnią rolę odegrało również zakończone dnia 16 kwietnia ciągnienie trzeciej klasy trzydziestej ósmej Loterii, w którym rozlosowano ośm tysięcy wygranych na ogólną sumę 2.089.750 złotych.

Główną wygraną tej klasy, wynoszącą sto tysięcy złotych, podzielili się mieszkańcy Górnego Śląska, pracownicy zakładów przemysłowych, pp.: E. H., K. L., M. R. i H. K. Każda z tych osób otrzymała dwadzieścia tys. złotych na ćwiartkę szczęśliwego losu Nr. 174201.

Sporo pieniędzy wpłynęło do Łomży, tam bowiem mieszkają właściciele poszczególnych ćwiartek numeru 58488, na który padła wygrana siedemdziesiąt pięć tysięcy złotych. Podzielą się tą kwotą dwaj kupcy, wojskowy i woźny sądowy. Druga wygrana tej samej wysokości przypadła mieszkańcom stolicy na Nr. 151025; poszczególne ćwiartki należą przeważnie do przedstawicielek płci pięknej.

Po pięćdziesiąt tysięcy wygrały numery: 150083 (Warszawa) i 72363 (Lesko, woj. lwowskie). I w tym wypadku szczęście dopisało paniom, które — trzeba to przyznać — rozumieją korzyści, jakie daje gra na Loterii Państwowej i biorą w niej tłumny udział.

Oczywiście wszystkie wymienione osoby, będą miały teraz jeden tylko kłopot: jak najlepiej ulokować swe pieniądze. Ale to już wybiega poza ramy naszego sprawozdania.

Niedługo już, bo 7 maja rozpoczyna się ciągnienie czwartej klasy, której główna wygrana wynosi — jak wiadomo — milion złotych. Należy więc pamiętać o odnowieniu losu, by uniknąć niepotrzebnych trudności.

CZY PANI WIE, ŻE...

...niedość jest myć trzy razy dziennie zęby szczoteczką. Pozostają jeszcze zawsze między zębami niemożliwe do usunięcia resztki pokarmów, psują się — i wywołują znane i przykre komplikacje. Amerykanie dla dokładnego oczyszczenia zębów używają stale oprócz szczoteczki—specjalnej nitki, która się przesuwa po jedzeniu starannie pokolei między zębami.

■

...jeżeli pani się sparzyła, a na letnisku niema pod ręką dobrze zaopatrzonej apteczki — proszę zaraz zastosować stary domowy środek, przekazany nam przez prababki.

Garść liści bluszczu gotować na wolnym ogniu w litrze wody, tak długo, aż ogonki od liści same będą odpadały. Przykładać te rozgotowane liście wraz z płynem w którym się gotowały, na miejsce oparzone. Jak głosi tradycja — zagojenie następuje niezmiernie szybko i niema najmniejszego śladu po oparzeniu.

■

...każda z nas lubi pracę w ogrodzie. Tę pracę zalecają coraz częściej lekarze całego świata, jako najskuteczniejszą kurację przy wielu dolegliwościach: leniwem trawieniu, otyłości, nerwach, przeciążeniu pracą umysłową, etc.

Więc wszystkie panie do ogródków, pleć grządki, kopać rabatki, flancować pomidory... Tylko — to niszczy ręce.

Jest na to rada. Przedewszystkiem pracować przeważnie w rękawiczkach, a po skończonej pracy moczyć ręce przez kwadrans w kąpieli z olejku migdałowego (z migdałów słodkich).

Powie Pani, że to zbyt kosztowne? Wcale nie — bo olejku nie trzeba po każdem namoczeniu wylewać. Ręce przed tą kąpielą kosmetyczną doskonale wymyć — a olejek będzie czysty i odpowiedni do użytku przez długi czas. Francuzki stosują to stale — a umieją one z braku służby tak wykonywać prace domowe, aby rąk niemi nie niszczyć.

■

...wiosenne kapelusiki są pełne wdzięku. Malutkie, zabawne, raczej płaskie, często w formie okrągłego torcika, nonszalancko umieszczonego troszkę na bakier. Ale ten fason mogą nosić tylko twarze o owalu wydłużonym: panie o twarzach pełnych wyglądałyby w nich groteskowo, gdyż taki placuszek bardzo poszerza twarz. Moda stworzyła jednak mnóstwo fasonów łatwiejszych, z rondem, w których każdemu jest do twarzy.

Na lato Paryż zapowiada kapelusze bardzo duże, lekkie, rzucające tajemniczy cień na oczy i pół twarzy. Te niezawodne kapelusze, w których prawie każda kobieta jest — a przynajmniej wydaje się— piękna...

■

...wiosna radosna, w maju — jak w raju" — zaczną niebawem śpiewać poeci. Ale eleganckie panie dobrze wiedzą, że niema wiosny radosnej bez nowej sukni, a niema nowej sukni bez nowych pantofelków. Żeby zaś nowe śliczne pantofelki w całej pełni odgrywały swą rolę — muszą być idealnie starannie utrzymane i stale czyszczone niezawodną pastą do obuwia firmy DOBROLIN.

■

...każda z pań może się łatwo przekonać, jak nieodzowne dla urody jest mycie się ciepłą wodą i dobrem mydłem. Jeżeli — czego nikomu nie życzę — podczas dłuższej choroby gorączkowej lekarz nie pozwoli się kąpać — no chociażby przez dwa tygodnie — cóż się potem dzieje przy pierwszej kąpieli!... Zauważy pani łatwo, że z całego ciała przy porządnem namydleniu i potarciu ostrą rękawicą schodzi cała warstwa nagromadzonego martwego naskórka. Chyba to najlepszy dowód, jak niezbędną rzeczą jest woda i mydło.

Zróbmy zresztą próbę równie przykrą lecz szybszą. Niech pani spróbuje przez dni parę się nie myć wodą, lecz kremem oczyszczającym. Po takiem „umyciu" weźmie pani na kłaczek waty trochę czystego spirytusu i mocno skórę natrze. Wata wcale nie będzie idealnie czysta...

Natomiast ta sama operacja dokonana po dokładnem umyciu się

wodą z mydłem — da rezultat zupełnie inny: wata będzie idealnie czysta — dla tej prostej przyczyny, że cały brud aż do głębi porów wymyty został naprawdę.

Wniosek? Na miłość boską — w kraju, gdzie zużycie mydła a więc wogóle kultura czystości stoi tak strasznie nisko — nie wolno robić zgubnej „propagandy" przeciwko mydłu, czyli za brudem...

Raczej radziłabym rozplakatować po wszystkich miastach i wsiach Polski wielkie wezwania: **Myjcie się mydłem, bo inaczej jesteście brudni.**

Takie jest, drogie czytelniczki, moje niezłomne przekonanie.

■

...chcąc mieć śnieżno białą bieliznę przy małym nakładzie pracy panie używają do prania doskonałego mydła Fabryki Franciszka Jaworowskiego w Warszawie, tel. 11-36-54. Do nabycia we wszystkich lepszych mydlarniach i składach aptecznych.

Dama Pikowa

POKAZ PRAC UCZENNIC
I MIEJSKIEJ SZKOŁY RĘKODZIELNICZEJ

I Miejska Szkoła Rękodzielnicza urządziła w swym gmachu pokaz prac uczennic, który stanowi doroczny przegląd działalności uczelni.

Pokaz w roku bieżącym zorganizowano w ten sposób, że w jednej sali zgromadzono wszystko to, co może być potrzebne pani, w innej sali wszystko jest dla pana, w innej jeszcze — dla dziecka. Eksponaty działu bieliźniarskiego są, jak zwykle prześliczne i wykwintne, dział krawiecki wystawił świetnie skomponowane i wykonane suknie letnie, komplety plażowe, płaszcze, etc. z dobranemi doskonale wszystkiemi szczegółami toalety, torebką, kapeluszem, a często i obuwiem. Dział introligatorski dał bardzo estetyczne oprawy, wykonane różnemi technikami, dział tkacki — ładne samodziały meblowe i odzieżowe, dział kilimów i dywanów starannie wykonane eksponaty, nadające się do każdego nowoczesnego wnętrza. Kurs koronczarstwa wystawił urocze arcydziełka, kołnierzyki, serwetki etc., kurs gorseciarski — doskonale wykonane i bardzo oryginalnie zdobione pasy i inne szczegóły intymne garderoby damskiej.

Ale te wszystkie kursy — choć naprawdę prowadzone doskonale, fachowo i przygotowujące świetne specjalistki rękodzielniczki, mniej może mi zaimponowały niż roczny kurs gospodarstwa domowego

Kurs ten ma zadanie przygotowanie do codziennego życia praktycznego dziewcząt ze sfer rzemieślniczych — chociaż i ojcowie rodzin „inteligenckich" przyprowadzają tu czasem „własnoręcznie" swe podrastające córeczki na naukę...

Ojcowie? Tak, ojcowie, nie matki. Ojcowie właśnie, zgnębieni niepraktycznością swych małżonek, chcą ,żeby ich córki były w życiu codziennem zaradniejsze. Ale są to wypadki wyjątkowe — przeważają na kursie dziewczęta ze sfer robotniczych, które po ukończeniu szkoły powszechnej, między 14 a 15 rokiem życia, nie mogąc dostać się jeszcze do żadnego zajęcia — tutaj przygotowują się do zajęcia najważniejszego: do pracy domowej która je czeka we własnem gospodarstwie.

Uczą się sprzątać i prać w sposób racjonalny. Uczą się utrzymywać czystość wszędzie i zawsze, uczą się gotować tak, aby było tanio zdrowo i smacznie. Wiedzą doskonale, co to są kalorje i witaminy, wiedzą co dać trzeba choremu na wątrobę, a co choremu na nerki. Układają racjonalne a śmiesznie tanie jadłospisy dla całych rodzin — ba, nawet dla całych kolonij dziecięcych, składających się z kilkudziesięciu osób! Stają się w ciągu paru miesięcy zaradne i rozgarnięte. Uczą się myśleć i wykonywać swe obowiązki dokładnie. Nabierają zwłaszcza — o co kierownictwo szkoły dba specjalnie — zamiłowania do skrupulatnej czystości — a jest to pojęcie, z którem przeważnie w swem życiu rodzinnem nie stykają się wcale. Wszystko na tem polu jest do zrobienia — i szkoła to „wszystko" wykonywa — poczynając od przyuczenia dziewcząt do mycia i noszenia stale czystej bielizny. Wyrafinowana czystość całego gmachu i sal działu gospodarczego jest wymownym dowodem, że wysiłki szkoły przynoszą doskonałe rezultaty. Dziewczęta nabyte umiejętności stosują potem we własnych gospodarstwach — co znakomicie podnieść może kulturę dnia codziennego sfer rzemieślniczych

Z.

ŚWIAT FILMU

„New York—San Francisko"

Imperial

Hasłem naszej epoki jest tempo. Tempo oszalałe, nieposkromione. Szybkość przestała być środkiem — stała się celem, złotym cielcem, któremu ludzkość składa ofiary, wyzbywając się zdobyczy kultury duchowej na rachunek powierzchowności, tandety a nadewszystko szybkości. Niebywały rozwój środków komunikacyjnych: samoloty, radio, samochody — wpłynął na ogromne zwiększenie szybkości odczuwania. Kapłani szybkości, których dewizą było do niedawna: śniadanie w Londynie, obiad w Paryżu, kolacja w Rzymie, ogarnięci rzutem szybkości nie zauważyli nawet, że w ich psychice dokonała się rewolucyjna przemiana. Ich życie uczuciowe strawestowane w myśl materialnego hasła pośpiechu wyraża się ideałem: popołudniu poznanie, wieczorem ślub, rano rozwód.

To, co było niedopuszczalne za czasów naszych babek, stało się obecnie normalną rzeczywistością. Nic tedy dziwnego, że trzydziestogodzinny przelot samolotem U. S. Air Line z Nowego Yorku do San Francisco dostarcza pasażerom i pilotowi wrażeń w ilości wprost proporcjonalnej do szybkości samolotu. Powszednie wydarzenie jednego przelotu, pomysłowo ożywione przez scenarzystów, posłużyło do stworzenia ciekawego filmu, gdzie demon szybkości zaprzężony do do rydwanu X-ej Muzy, ujarzmiony staranną reżyserią gra na duszach bohaterów dziką symfonię uczuć i wrażeń.

Film konsekwentnie zamknięty w obrębie kabiny wielkiego samolotu transkontynentalnego przenosi nas do dziwnego, oderwanego od nizin świata, połączonego z resztą ludzkości cienką linką anteny radiowej. Hołdując demonowi szybkości, reżyser Mitchell Leisen nadał scenariuszowi wartki, niczem niepowstrzymany tok, co w połączenu z sensacyjnoscą fabuły oddaje ze świetną plastyką ciekawe przeżycia zespołu przypadkowych towarzyszy podróży. Intryga jest nawiązana zręcznie, przeprowadzona starannie i żywo, nie tracąc mimo wartkiego tempa kontaktu z rzeczywistością i życiem.



Pełna uroku Joan Fontaine, artystka R. K O. Radio występuje obok Katarzyny Hepburn w filmie „Quality Street"

Pierwsze skrzypce w doskonałym zespole gra inteligentnie sympatyczny Fred Mac Murray. Rola pilota, odpowiedzialnego za życie i bezpieczeństwo fruwającego domu wariatów, daje mu możliwości pokazania swej wszechstronności. Lekkomyślny, kochliwy młodzieniec, jakim jest Mac Murray w w początkowych scenach filmu, przekształca się w prawego, surowego orła, pewnego swych poczynań i możliwości, chwilami brutalnego i szorstkiego, a przecież nie pozbawionego tej miękkości, którą daje budząca się miłość.

Joan Bennet umiejętnie poprowadzona przez reżysera i trafnie obsadzona dała sylwetkę miękką, pełną finezji odczucia, o bogatej mimice, szczerej ekspresji i miłym kolorycie. Allan Baxter, Zazu Pits i cała plejada odtwórców ról dalszoplanowych doskonale spełniła pokładane nadzieje, dając szereg świetnie zarysowanych konturów, podkreślając właściwą interpretacją roli nastrój i wypełniającą pewne luki akcji.

Sensacyjność obrazu utrzymana jest w tonie kulturalnym. Pokaźna ilość scenek humorystycznych czyni całość lekkostrawną, ożywia akcję racami dobrego dowcipu a w połączeniu z subtelnym urokiem budzącej się miłości dodaje filmowi ciepła i prostoty.

Nadprogram dodatek Pata i monotonny reportaż Cękalskiego „Polskie tańce ludowe".

J.

ŚWIAT FILMU



Świetne trio: Jack Oakie, Lily Pons i Franc Jenks, w filmie R. K. O. Radio „Dziewczę z Paryża"

„Powrót Tarzana"

Światowid

Cykl filmów, opartych na fantazji Edgara Borough od szeregu lat wnosił nowy dziki powiew do dość jednostronnie traktowanych programów myśliwsko - podróżniczych. Ogromny rozmach, z jakim przystąpiono do pierwszego obrazu z Tarzanem, zdumiał i zaskoczył nieprzygotowanych widzów. Realizm i doskonałość techniczna zdjęć i montażu zadziwiła zdumiewającymi efektami kinowymi, dostarczyła sensacji innego kalibru, egzotyki często naiwnej i niezgodnej z rzeczywistością, ale olśniewającej bogactwem motywów, tętniącej życiem dżungli, przytłaczającej ogromem puszczy i zatrważającej jej dzikością.

Na pierwszej serii obrazów z Tarzanem nieokiełzana fantazja scenarzystów i reżyserów wyczerpała się niemal całkowicie. Wprowadzano coraz to nowe okazy z menażerji zadziwiano coraz to lepszym opracowywaniem szczegółów, wszechstronniejszą tresurą występujących zwierząt. Treść pozostawała prawie identyczna.

„Powrót Tarzana" zrealizowany z dużym wysiłkiem dla Metro-Goldwyn - Mayer przez Ryszarda Thorpe nie wychodzi niestety, poza utarte ramy szablonu. Niektóre sceny, filmowane zresztą z godną podziwu doskonałością techniczną, sprawiają wrażenie tak znanych, że poprostu trudno ustalić, czy są zbliżone, czy nawet identyczne ze znanemi z różnych dawniejszych filmów Tarzana. Fruwający w dżungli Johny Weissmüller, unoszący się na niewidocznych lianach pod szczytami potężnych drzew dziewiczej puszczy, zdaje się być żywcem przeniesiony z któregoś poprzedniego filmu.

Mimo zupełnej prymitywności i ogromnej naiwności fabuły, mimo że rozwiązania poszczególnych zagmatwań dadzą się zawsze przewidzieć ze stu procentową pewnością, niektóre poczynania bohaterów są zupełnie niezrozumiałe, bezcelowe i niewytłomaczalne.

Przez grube ściegi intrygi przewija się pochwalna fanfara na cześć bohaterstwa, szlachetności i dzikości, skreślona pociągnięciami jaskrawo - kontrastowymi, uwidoczniona za pomocą środków prostych, aż do prymitywu, zaprawiona sensacyjnością zbyt ograną, aby mogła wywołać prawdziwy dreszczyk emocji. Przez niepowiązane logicznie sceny obrazu wyziera chęć dostarczenia taniej emocji, obliczona na ingnorację i brak krytycyzmu widzów.

Znane efekty techniczne doskonale wyreżyserowane i zmontowane przy miłej i prostej grze Johny Weissmüllera i Maureen O'Sullivan zdolne są zaciekawić widza, nie znającego poprzednich filmów Tarzana. Charaktery pozostałych postaci filmu znaznaczone są zbyt kontrastowo, co wywołuje wrażenie sztuczności.

Przemiłym ożywieniem obrazu jest „osoba" małpeczki Czyty, która gra wprost cudownie. Jej gesty, mimika, ekspresja trafnie podkreślone przez reżysera zawierają niewyczerpaną kopalnię prawdziwego szczerego humoru połączonego z ciepłą tkliwością.

J.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. W. Łazarski, Dzierż. Spółdz. „SPÓJNIA", Żelazna 58a